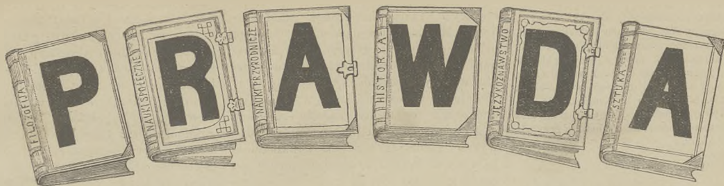
Nr. 22. Warszawa, dnia 18 (30) Maja 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Dnia 26 Maja odbyła się w Moskwie Święta Koronacya Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszego Pana MIKOŁAJA II i Najjaśniejszej Pani ALEKSANDRY TEODORÓWNY, przyczem wydany został Najwyższy Manifest, obejmujący rozmaite ulgi i łaski.

POLITYKA.

Likwidacya w Afryce.

Pogrom marcowy odsłonił dopiero całą blagę, którą Crispi tumanił naród, króla i Europę, prowadząc do spółki z Baratierim politykę zdobywczą w wielkim stylu, wtedy, kiedy siły i warunki działania pozwalały jedynie na politykę jak najskromniejszą, dążącą do zachowania i obwarowania tego, co rządy poprzednie dla Włoch były pozyskały. Rozprawy w Izbie w maju, zwierzenia oficerów w Erytrei, listy korespondentów, pamiętniki wybitnych osobistości — wszystko to zgadza się na jedno, że przedsiębiorstwo prowadzone było lekkomyślnie dla zamydlenia oczu — spragnionych rzetelnego wewnętrznego porządku, rozwoju instytucyj państwowych i należytego prowadzenia spraw bieżących — kłamaną wielkością zewnętrzną, do jakiej Włochy ani sił, ani okoliczności sprzyjających w sobie i w stosunkach swoich międzynarodowych nie miały.

Rudini z Ricottim pogrzebali już tę wielką politykę — słusznie przez radykalnych członków Izby, a nieprzyjaciół Crispiego, uważaną za jedno wielkie polityczne bezprawie byłego garybaldczyka i republikanina. Z umiarkowaniem sobie właściwem, dobrze zalecającem męża stanu u władzy, ze względnością dla stosunków, które łączyły z Crispim samego króla Humberta, Rudini nie dał się wciągnąć na tory dochodzeń śledczych przeciwko swemu poprzednikowi; energicznemu jego przemówieniu zawdzięcza złowrogi twórca wielkości erytrejskiej przyciszenie głosów gniewu, nienawiści i surowego sądu, któreby musiały zakończyć się potępiającym wyrokiem, jeśli nie magistratury państwowej, to opinii publicznej całego kraju i Europy. Zapominając o osobach, wzięto się w Consulcie do rzeczy — i ta rzeczowa robota, z jawnością celu, odwagą przekonań i stanowczością woli przeprowadzona, stanowi właśnie likwidacyę przedsiębiorstwa Crispiego i spółki.

Już d. 6 maja generał Baldissera otrzymał od rządu, za podpisem trzech ministrów, Ricottiego, Rudiniego i Caetaniego, rozkaz cofnięcia się na linię Mareb-Belesa-Muna, tj. tę, którą Abisyńczycy uważają za rzeczywistą granicę, umówioną w traktacie uczalskim. Linia ta odcina z północnej Abisynii wschodnią jej połać, przytykającą do ziem, które przed najściem Włochów w r. 1885 tylko pod nominalnem zwierzchnictwem abisyńskiem zostawały, a po najściu dostały się mocarstwu europejskiemu bez wojny. Rozkaz opuszczenia Adigratu był tylko wypływem woli, poprzestającej na pomienionej granicy, a zajęcie Debry pod Adigratem ma jedynie wzmocnić pozycyę strategiczną na pograniczu. Sam Rudini jeszcze może posłać wojsko i do Adigratu i dalej jeszcze na południe; ale uczyni to już z innemi siłami, z innym sztabem i dowództwem naczelnem i z inną też myślą przewodnią.

Zwierzenia generała Arimondiego w jego pamiętniku, ogłoszonym przez *Gazzetta piemontese*, pokazują całą lekkomyślność ówczesnego rządu, który na ciągłe ostrzeżenia przeciwko wyprawie Baratierowskiej miał tylko ciągłe, coraz to nowe objawy zaufania i zachęty dla nieudolnego a ambitnego generała, pragnącego czemprędzej na barkach Crispiego wspiąć się jak najwyżej. Nietylko z przestróg, aby nie działać, nie skorzystano, ale nawet w działaniu już objawiono karygodne niedbalstwo. Baratieri miał przy sobie klikę, która niczego z zewnątrz nie dopuszczała do sztabu, a pychą i junakeryą zastępowała rozwagę i rozum. Ofiara Baratierego, pod Aduą poległy, gen. Arimondi, wykazuje, że klęska straszliwa pod Amba Aladży do 8 grudnia r. z. dałaby się uniknąć, gdyby generał głównodowodzący chciał był słuchać rady mu udzielonej. Toselli nie byłby rozbitym, Abisyńczycy możeby nie zdobyli się na odwagę do pochodu na północ. Nic jednak nie ważyło u tych zuchwałych blagierów, zostających pod komendą i pod skrzydłami głównego blagiera w Rzymie. Likwidacya całej tej entrypryzy była jedynem wyjściem z wąwozu, w jaki wpakował politykę włoską ser Francesco Crispi.

Tydzień polityczny. Izby włoskie zasiadały jeszcze przez święta. Rząd stanowczo już cofnął wojska na granicę Erytrei, na linię rzek Mareb-Belesa-Muna. Izba deputowanych wyraźnie takiej wstrzemięźliwości nie uznała za dobrą; Rudini też zadowolnił się prostem przyjęciem do wiadomości. Fundusze państwowe wskutek wzrostu dochodów pośrednich mają być w świetnym stanie; do stycznia 1897 r. wystarczy ich na Erytreję. Wojska będzie tylko na niezbędne obsadzenie pozycyj strategicznych. Adigrat pozostawiony Abisyńczykom, ale Kassala ciągle trzymana. Baldissera pieniędzmi i podjudzaniem rasów jednego na drugiego może przez porę deszczową wzmocnić polityczne stanowisko Włoch w Afryce i przygotować dogodne warunki do wznowienia wojny, jeżeli takie będą zamysły rządu.

We Francyi list ks. Filipa, energicznie brzmiący, jest rzeczywiście pustym pęcherzem. Ostrzegali starsi, że więcej złego niż dobrego narobi. Teraz już Bonapartyści oburzają się na przywłaszczenie sobie wynalazku, który do nich należy. Oni to właśnie plebiscytem władzę zdobywali. Obóz rozdwojony; najlepiej mu było pod hasłem konserwatyzmu.

Izby francuskie zebrały się d. 28 b. m. Dawny bulanżysta, Delahaye, przygotował już petardę pod Faure'a. List Filipowy wywołał też niemałe wrzenie. Mowa p. Meline'a na jednej z uroczystości prowincyonalnych, wzywająca do obrony porządku spo-

łecznego, podnieciła radykalistów, zawiązujących się znowu w ligę dla obrony praw głosowania powszechnego pod przewodem Bourgeois. Będzie burza zaraz po otwarciu.

Izby przedlitawskie odroczyły się, wybrawszy d. 22 b. m. delegacyę. W lewicy niemieckiej rozkład. Suess i Russ tworzyć zaczynają nowe stronnictwo.

Chamberlain miał nową mowę w jednym z klubów londyńskich. Znowu wylazł z niego zawścieczony „Iingo." Kruger ułaskawił przestępców — 4-ch na więzienie 15-letnie, innych na krótkotrwałe wygnanie i grzywny. Rzeczpospolita Oranje zawarła już przymierze z Transwalem. Robinson z Przylądka jedzie do Anglii.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

EGZAMINY.

Kilka wskazówek, wyjaśnień i rozporządzeń, pochodzących ze sfer ministeryalnych, rzuciło światło na dotychczasowy system egzaminowania młodzieży szkolnej wszelkiej kategoryi i dało pewne wytyczne dla wprowadzenia zasadniczych reform. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na wady i niedogodności egzaminów konkursowych wyższych zakładów specyalnych. W sześciu instytutach petersburskich: górniczym, komunikacyjnym, leśniczym, technologicznym, elektrotechnicznym i inżenierów cywilnych, na 700 miejsc wolnych przypada corocznie 3,000 kandydatów. Mniejszy jest napływ i słabsze kołatanie do pięciu pozostałych w innych ogniskach szkolnych: do Cesarskiej szkoły technicznej i Instytutu rolniczego w Moskwie, Instytutu technologicznego w Charkowie, Instytutu rolnictwa i leśnictwa w Nowej Aleksandryi i politechniki w Rydze. Zgłasza się do nich przeciętnie 1,000 kandydatów rocznie. Wada obecnego systemu egzaminów konkursowych polega głównie na tem, że każdy zakład naukowy urządza je osobno niezależnie od innych i przytem według różnych programów, przekraczających nieraz kurs nauk szkół średnich. Młodzież, pragnąca poddać się tym próbom ogniowym, szczególnie w Petersburgu, nie jest rozmieszczana równomiernie w owych zakładach, stosownie do uzdolnienia i powołania, gdyż składa jednocześnie egzaminy na los szczęścia w kilku specyalnych przybytkach wiedzy wyższej. Skutkiem tego próby takie trwają wszędzie bardzo krótko i nie pozwalają egzaminującym ocenić rzetelnie przygotowania i zdolności kandydatów.

Otóż z inicyatywy ministeryum oświaty utworzono komisyę, której zadaniem jest obmyślenie sposobu ułatwienia dla młodzieży wstępu do wszystkich zakładów naukowych. Dotychczas postanowiono: powołać ogólną komisyę egzaminacyjną, z profesorów złożoną, dla sześciu zakładów petersburskich; opracować ogólne programy egzaminów konkursowych, stosownie do programów szkół średnich i wreszcie wytworzyć pewną łączność między szkołami wyższemi a średniemi. Obecnie komisya już podobno przystępuje do opracowania szczegółowych przepisów, które mają zmienić gruntownie dotychczasowy tryb egzaminów konkursowych.

Nie na tem wszakże kończy się wadliwość egzaminów. Tkwi ona wogóle we wszystkich wyższych zakładach naukowych, głównie zaś w uniwersytetach. Każdy z nas miał kolegów z różnorodnem uzdolnieniem, usposobieniem i pojęciem o nabywaniu wiedzy. Każdemu z nas pozostały w pamięci szczegóły z owej stanowczej i gorącej chwili, w której się ważą losy studentów: przejdzie, czy pozostanie na drugi rok? I czasem zdumienie nas ogarniało na widok bajecznego powodzenia pierwszego lepszego hebesa, który na próżniaczce i hulance spędził rok cały, dopiero wziął się do „kucia" przed samymi egzaminami, tak dalece, że nawet nie mógł całego kursu przeczytać uważnie. Smutek zasiadał w naszych sercach, gdy towarzysz zdolny i pracowity nie mógł odpowiedzieć zadawalająco na pytania profesorów i dostawał zły stopień. Dla kolegów to nierówne szczęście aż nadto było zrozumiałe: Zależało ono najzupełniej od losu: biletu wyciągniętego. Wygrywało się stopień dobry, jak się wygrywa butelkę wina lub serwis na loteryi fantowej. Ktoś wybornie zgłębił i posiadł cały kurs danego przedmiotu. Zabrakło mu tylko paru godzin do zupełnego zapanowania umysłem nad cząstką wykładu, przypadającego na jedno albo dwa pytania. Na egzaminie wyciąga dwa bilety i oba każą właśnie wykazać znajomość owej cząstki, która nie weszła do pamięci. Jakiś hulaka po całorocznem próżniactwie i całonocnem „burszowaniu" w przeddzień egzaminu, bierze rano „kurs," czyta pobieżnie trochę z początku, trochę ze środka i końca, przychodzi i staje się wybrańcem ślepego losu: wyciąga pytanie na ten temat, który zdążył zapamiętać; otrzymuje „czwórki" lub nawet „piątki" i drwi sobie z całej wiedzy.

Z takich ludzi rekrutują się później szeregi owych „umysłów z nauką uniwersytecką," podobnych do podziurawionych i pomarszczonych baloników, w których napompowany gaz nie zdołał zatrzymać się i uleciał. Młodzież taka zdobywa patenty za chwilowe zatrzymanie w pamięci przedmiotów wykładowych, objętych programem, a raczej ich ustępów. Po paru latach wszystko wietrzeje z umysłów i pozostaje tylko... dyplom w kieszeni. Niewiele wszakże stoją wyżej od nich owi „kowale," którzy dosłownie się uczą wykładu; z uśpionym, ociężałym umysłem, bez drobiny zdolności krytycznej przechodzą przez uniwersytet i wstępują w życie, jako posiadacze „wiedzy wyższej."

---

2)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

Wrok prawie później pojawiła się w Paryżu, u Lemerre'a, książka, nosząca tytuł *Dilettantes*. Trzy gwiazdki zastępowały imię autora. Jednakże katalog innego, mniej uczonego wydawcy, okazał się mniej też dyskretnym. Zdradza on, że autor *Dyletantek* ukrywa się pod znanym w Paryżu pseudonimem, którym podpisany był nagrodzony przez Akademię francuską przekład pieśni ludowych węgierskich. Zyskał on zasługi przez zapoznanie Paryża z literaturą skandynawską i podnczaał rzadkie, lecz subtelne i w kołach literackich bardzo cenione krytyki. Wtajemniczeni wiedzą, że pod pseudonimem tłomacza i trzema gwiazdkami bezimiennego autora ukrywa się pewna pani, należąca do najwyższej arystokracyi austryackiej — „dyletantka," pisząca, bez oglądania się na zarobek lub na względy publiczności. Jako członek świecki stowarzyszenia duchownego, mieszka w Paryżu od dziecka; utrzymując ścisłe stosunki z najwybitniejszymi przedstawicielami literatury francuskiej, przyswoiła sobie język tak bogaty, tak pełen subtelnych odcieni i dyskretnej elegancyi, że zalet tych pozazdrościć by jej mógł niejeden ze starszych pisarzy francuskich. W tym oto języku, którym włada lepiej, aniżeli ojczystą niemczyzną wiedeńską, napisała przedziwną swoją książkę.

Szukam — niemal daremnie — słowa, którembym istotę książki tej określić mogła. Jest to bowiem utwór w tak wysokim stopniu *kobiecy*, że dla oddania tego, co przedstawia, brak wyrażenia w mowie, która nie nauczyła się jeszcze podchwytywania i zaznaczania różnic między właściwościami twórczości męzkiej i niewieściej. Odczuwa się przy rozpatrywaniu *Dyletantek* to samo prawie, co przy czytaniu *Zasadniczych tonów* p. Egerton. Lecz nieuchwytność, zagadkowość obu tych kobiet nie słynie ani z rasy, ani z wewnętrznych warunków ich życia: wytwarza je jakiś czynnik, tkwiący w głębi ich duszy, niezależny od wydarzeń, które kształtują i rozwijają kobietę. Jest to *zasadniczy ton* ich istoty, ukrywający się nieśmiało, jakoby uciekający od ciekawych uszu i palców. Jest to rys absolutnie nowy w literaturze niewieściej — rzekłbyś znak, świadczący o tem, że w obecnej chwili literatura kobiety, przejawianie się istoty niewieściej występuje we własnych jej o sobie wyznaniach. Jak już powiedziałam, najlepsze dotychczasowe utwory literackie kobiet były naśladownictwem literatury mężczyzn z przymieszką pojedynczych, wysokich nut kobiecych. Były tedy zeznaniami — z drugiej ręki. Zdaje się, iż nadszedł czas, w którym kobieta czuje tak silnie odrębność swojej natury, że zaczyna mówić od siebie i o sobie, chociaż mówi czasem jeszcze zagadkowo.

Kilkakrotnie już wykazywałam, że mężczyźni znają w nas te tylko strony, które chcą widzieć lub które my im pokazujemy. Jedni szukają w nas tylko płci, jako barwy dopełniającej dla siebie; inni szukają naszego „ducha," „charakteru," naszej „wyższości" lub tym podobnych, upiększających życie, w mniemaniu ich, zasłon. W pierwszym wypadku wyrodzić się mogą różne rzeczy; w drugim — wyrodzi się tylko to, co tkwiło w zawiązku: nic. Z pod tego pierwszego stanowiska patrzyła pani Egerton na męża i wszystkich swoich mężczyzn; ten drugi zaś punkt widzenia był miarą autorki *Dyletantek*. Patrzy na mężczyznę, który w jej oczach jest złotoustym pozerem, ze wzruszeniem ramion i z bezbrzeżną, znużenia pełną pogardą.

Obie zaś czują się tak zupełnie inne, aniżeli im mówiono i aniżeli są w mniemaniu mężczyzn. Nie pojmują tego. Siebie nie rozumieją. Wogóle nie rozum w grę tu wchodzi. Instynktem tylko czują siebie w sobie. I występują jako rzeczniczki własnej wewnętrznej sprawy. Nie są już refleksem, rzuconym przez mężczyznę w pustą formę, nie są Galateą, która pod

Owe fakty tłomaczą dostatecznie to znamienne zjawisko: społeczeństwo nasze posiada na różnych stanowiskach gromady ludzi z wykształceniem wyższem, a jednak ograniczonych, tępych umysłowo, których w szermierce polemicznej pobija i haniebnie zawstydza pierwszy lepszy bystry samouk. Z takich szeregów częstokroć składają się owi działacze na polu społecznem i ekonomicznem, którzy nie są zdolni do ogarnięcia szerokich widnokręgów potrzeb, nie rozumieją ich, nie odczuwają i chodząc w półmroku, wytykają wązkie ścieżki do życiowego pochodu społeczeństwa. Przyjrzyjmy się tym ludziom, którzy pokończyli uniwersytety przed laty piętnastu, dziesięciu, sześciu i już zdążyli stanąć na takich placówkach, że z nich mogą rozdawać środki rozwoju materyalnego oraz współpracować około naprawy bytu. Z ekonomii politycznej, nauk społecznych i filozoficznych pozostała im w umyśle sucha terminologia. Wiedzą oni, że *dobra* są to: 1) przedmioty materyalne, 2) prawa do nich i 3) wszelkie inne rzeczy niedarmej zamiany, ale nie wiedzą, jakimi środkami nauki można to „dobra“ podtrzymać i rozwinąć w życiu. Wiedzą, że *produkcya* jest to tworzenie wartości dla gospodarstwa ludzkiego, ale nie mogą dojrzeć czystych i głębokich źródeł, z których ta produkcya płynęłaby i dawała znośne istnienie całym masom ludności. Komórki ich mózgow zamknęły w sobie suche ziarnka nauki, wymłócone z programu szkolnego i nie pozwoliły im nawet kiełkować, podczas gdy te same ziarna szczodrze rozsiane na urodzajnej glebie postępu powszechnego, wydają coraz nowe owoce. Rozwój idzie bezustannie, a z nim wzbogacają się, rozszerzają lub nawet przekształcają różne gałęzie umiejętności. Jakżeby dziś wobec tego wyglądał chemik, któryby poprzestał na tym szczeblu nauki, na jakim ją przyswoił za czasów Liebiga? Do jakiej kategoryi jednostek szkodliwych zaliczyłoby społeczeństwo takiego chirurga, który przy dzisiejszym rozwoju wiedzy lekarskiej zechciałby stosować środki z czasów Hippokratesa, Galenusa, Guy de Chauliac'a lub Ambrożego Paré?

Niestety, mamy właśnie sporo takich chemików i chirurgów społecznych i ekonomicznych; zamrozili oni swą naukę, która w określonej programem dawce dostała się przed laty do ich umysłów i nie pozwoliła następnie wejść tam żadnej ożywczej kropelce wiedzy, żadnemu promieniowi rozwoju powszechnego.

Są wszakże sposoby zmniejszenia produkcyi tych umysłów zamrożonych: zmiana systemu egzaminacyjnego, który jest ściśle związany z programem wykładowym. Trzeba, ażeby stopnie celujące otrzymywał nie ten student, który potrafił wyuczyć się na pamięć kursu pewnego profesora i ku jego zadowoleniu wyrecytować dany ustęp, lecz taki, który wykazałby gruntowną, wszechstronną znajomość przedmiotu, *oczytanie* w jego zakresie, samodzielność i zdolność krytyczną w tej mierze. Taką najwyższą próbę, i to z jednej jakiejś dziedziny, przechodzą tylko doktoryzujący się, tj. piszący rozprawy. Profesor, który nie ma na celu zdobycia wobec swych słuchaczów aureoli mędrca, który się nie boi ujawnić swej pracy kompilacyjnej, powinien dawać słuchaczom wskazówki, gdzie i z jakich źródeł mogą uzupełnić przedmiot wykładowy, posiąść szerszą, gruntowniejszą jego znajomość i wyrobić w sobie zdolność krytyczną w tej mierze. Powinni więc nie wymagać, ażeby na egzaminie dosłownie powtarzano ich wykład i zapatrywania osobiste, w nim zawarte, lecz obok znajomości kursu, programem określonego, żądać, ażeby egzaminowany wykazał rezultaty pracy samodzielnej, co w danej dziedzinie przeczytał i jaki sobie pogląd wyrobił. Nauka w ten sposób osiągana staje się nabytkiem trwałym, rozszerza widnokrąg umysłowy i przekonywa studentów, że wykład uniwersytecki nie jest kresem wiedzy wyższej, że daje tylko klucz do jej niezmierzonych przestworów. Przy takiej metodzie nie potrzeba byłoby ciągnąć losów podczas egzaminu dla uzyskania stopnia. Każdy próżniak i lekkoduch wiedziałby, że przybytek nauki uniwersyteckiej nie jest dla niego i ustąpiłby dobrowolnie, bez pobicia go stopniami niezadawalającymi.

W ten sposób na naukę i jej probierze zapatrują się tylko nieliczni światli profesorowie i z ich właśnie inicyatywy powinna wypłynąć tak ważna i pożądana reforma w systemie egzaminowania, tem bardziej, że nie pociągnęłaby ona żadnych powikłań, potrzeby przekształcenia trybu lub systemu wykładów, lecz zależałaby jedynie od zapatrywań profesorów. Potrzeba, ażeby owe zapatrywania, stanowiące cechę ludzi światłych, stały się obowiązkiem.

Jubileusz Kuryera Warszawskiego *)

(przyczynek do dziejów wyświecenia poważnych publicystów z dziennikarstwa).

Firmy, trudniące się wyrobem perkalików, i nawet zwykłe kramiki, sprzedające na łuty pieprz i cukier, obchodzą rocznicę swego istnienia. Niema więc najmniejszych powodów zaprzeczać *Kuryerowi warszawskiemu* prawa świętowania 75-lecia swojej działalności. Jest przecież pewna różnica pomiędzy skromnym episierem, który w nielicznem kółku roztkliwia się nad własną umiejętnością robienia geszeftów, a wielką fabryką nowin i plotek, której przedstawiciele usiłują podnieść jedną z rocznic swego *businessu* do godności święta naro-

*) Nasz sprawozdawca literacki zastrzegł sobie kilka uwag o tej książce z innej strony. *Red.*

---

pocałunkami Pigmaliona staje się człowiekiem i kobietą, — były kobietami, zanim poznały Pigmalionów i były do tego stopnia kobietami, że Pigmalion jest dla nich nieraz tylko tuzinkowym głupcem. To zaś stanowi okropne rozczarowanie! I pod wpływem tego właśnie rozczarowania najlepsze kobiety oddalają się dziś od mężczyzn i mierzą ich krytycznym, znudzonym wzrokiem. Ten?! Nie, lepiej żaden! Lecz przychodzi dzień...

Gdy zaś był taki dzień, kobieta staje się złą, jak Strindbergowska Megera lub taką, jak hrabianka Reza z *Dyletantek*. Staje się samobójczynią — w ten lub inny sposób. Nie odbiera sobie życia, jak hrabianka Reza, lecz *coś* w sobie zabija. Te zaś kobiety, w których coś umarło, które noszą w sobie trupa i z których duszy wieje woń cmentarna, stanowiąca dla tych mężczyzn tak wabiącą i łakomą zagadkę — te kobiety—to nasze matki, siostry, przyjaciółki, nauczycielki: my zaś nie wiemy, co to za dreszcz przebiega czasem po nas w ich sąsiedztwie.

Aby proces ten ująć i odtworzyć, trzeba posiadać subtelne władze duchowe; aby tak głęboko zajrzeć w siebie samą, należy mieć wysoce rozwiniętą zdolność uświadamiania sobie rzeczy. Autorka *Dyletantek* posiada oba te warunki. Posiada jeszcze trzeci, również niezbędny: dystyngowany, dyskretny ton starej, wysokiej, pewnej siebie kultury — ton, w którym wszystko powiedzieć można.

Nadto zaś wniosła w tę książkę zupełnie współczesne, doskonale wykształcone czucie artystyczne, zastosowanie praw malarskich do opisów, subtelne zrozumienie rytmu muzycznego, przejawiające się w stylu, co wszystko razem składa się na przedziwny urok tej książki.

Jest pewien obraz Klaudyusza Moneta—lekki, złocisty odblask słońca, rzucony na spowite w mgły morze. Widzisz jedynie to zaledwie dostrzegalne błyski, kołyszące się na ruchomem, opalowem przezroczu. Lecz domyślasz się, że z tego południowego morza wyłania się wzgórze i że tam w dali chwieje się stado łodzi rybackich. Jeszcze nie zadniało, ale panuje już jasność, chłodna, blada jasność dnia upalnego. Dawno na obraz ten nie patrzyłam, atoli czar jego trwa we mnie tak silnie, że widzę go dziś jeszcze. W tonie takiej wrażliwości na subtelne odcienie barwne, która przeistoczyła się tutaj we wrażliwość na migotliwe stany duchowe, napisaną jest ta książka.

Jest to bardzo cicha książka. Podobnie jak w obrazie Moneta niema ani jednej silnej barwy, niema tu ani jednego głośnego dźwięku. Zdaje ci się, że spozierasz w fale, które płyną i płyną, unosząc z sobą trawy morskie, muł, ludzi i trupy — i milczą, milczą. Zewnętrznie jest to książka bez przygód i bez dyalogów. Atoli pod powłoką tej martwej niemal ciszy rozgrywa się całe życie, ginie cała stawka, wniesiona do tego życia i rozbrzmiewają te właśnie odpowiedzi, które śmierć przynosą. Duszę bowiem godzi się śmiertelnie nie słowem, lecz tą głuchotą, która nie słyszy wołania, obojętnością dla nieśmiałej prośby o przytułek, zaniedbaniem chwili, w której wszystko jest gotowe, w której pączek rozchyliłby się pod jednym jedynym wiewem serdecznego ciepła. Rzuć okiem jutro, a zobaczysz, że pączek zwiądł. Nie otworzysz go już ani tchnieniem, ani dłonią. Pod dotknięciem twojem uschnie jeszcze więcej i listki opadną.

Znana, niewiadoma autorka, dała książce swojej tytuł *Dyletantki*. Do jednej tylko wszakże osoby określenie to odnieść można. Czyżby, używając liczby mnogiej, bohaterkę i siebie miała na myśli? Przypuszczenie jest prawdopodobne.

Wprowadza nas do kolonii artystycznej, zamieszkałej w Paryżu. Baron Marek Selenyi jest dyletantem w dziedzinie literatury. U starej księżny Ebendorf poznaje siostrzenicę jej, Teresę Thaszary, w której widzi bratniego sobie ducha. Zbliżają się w czasie długotrwałej choroby księżny i przyzwyczajają się do siebie tak dalece, że po jej śmierci Selenyi odwiedza młodą hrabiankę, jak niegdyś jej matkę, pisuje zaś tylko w jej domu, ponieważ obecność jej staje mu się nieodzownym bodźcem w chwilach twórczych.

(D. n.)

dowego i wmówić w społeczeństwo, że chodzi tam nie o marne złoto, lecz o dobro publiczne. Widomą oznaką uroczystości, przeznaczoną dla kół szerokich, jest książka, o której już przed jej ukazaniem się rozsiewano pogłoski. że będzie dokładnym obrazem naszego życia publicystycznego, artystycznego i literackiego za okres trzech ćwierci wieku.

Kto występuje publicznie, ten daje innym prawo do zapytania o jego zasługi. Jakie ziarno siał *Kuryer* w ciągu tylu lat na glebie ojczystej? Czy podniósł poziom sumienności dziennikarskiej i szerzył poczucie, że życie ma swoje obowiązki? Czy przysporzył krajowi sił pożytecznych, a może pożyteczne tylko zmarnotrawił i wyjałowił?

Drobne miasteczko, pozbawione udoskonalonych środków rozpowszechniania wiadomości o wypadkach bieżących, posługuje się istotami żyjącemi. Jest tam zawsze parę kumoszek, dzielących swoje wczasy pomiędzy dewocyę a obmowę bliźnich, istnieje kilku pieczeniarzy, którzy zastępują brukowe organy wielkiego miasta i roznoszą nowinki po domach zamożniejszych. otrzymując w zamian okruchy, spadające z ich stołu. Typy to charakterystyczne, z wyraźną, acz bardzo niepowabną fizyognomią duchową.

Wiek pary, który zagospodarował się w wielkich ogniskach handlu i przemysłu, zniszczył rzemieślniczy tryb rozpowszechniania plotek, bo powierzył to zadanie specyalnym fabrykom, zwanym redakcyami pism brukowych. Z punktu socyologicznego, kumoszka z drobnego miasteczka a *Kuryer warszawski*, to tylko dwie odmienne fazy tego samego zawodu w doskonalącym się mechanizmie społecznego podziału pracy! Różnice dotyczą tylko strony technicznej: postąpił proceder zbierania plotek oraz rozpowszechniania, wzrosła liczba osób, żyjąca z tego zajęcia, „sylfowie“ — jak grzecznie ochrzczono najemników fabryki plotkarskiej — stali się istotami bezimiennemi. Ale rzecz sama nie uległa zmianie i jubileusz 75-letni wspomnianego pisma jest właśnie obchodem geszeftu, który w rozwiniętym podziale pracy zastąpił ćwiczącą swój język kumoszkę.

Każdy z organów prasy codziennej musi dostarczać swoim czytelnikom informacyj najrozmaitszych, ale o ile nie wyzuł się zupełnie z szerszych polotów myśli, uważa to za złe konieczne, z którem trzeba się liczyć, ażeby nie zostać wyrugowanym z rynku przez mniej skrupulatnych przeciwników. Jeden dziennik usiłuje wynagrodzić czytelników, uprawiając dział rozumowanych artykułów politycznych, inny stara się kształcić smak artystyczny, stale zamieszczając artykuły literackie. Dla kuźni plotek jest to rzecz zbyteczna. W książce jubileuszowej znajdujemy ustęp bardzo charakterystyczny, choć wątpliwego pochodzenia, nie jesteśmy bowiem pewni, czy taką była myśl założycieli lub też czy może redakcya dzisiejsza przeniosła swoje poglądy w czasy ubiegłe. „Ażeby założyć właściwy organ miejski— czytamy na stronicy, opowiadającej o narodzinach *Kuryera* — i prowadzić go umiejętnie, potrzeba było nie literata z talentem, ani też poważnego publicysty, żaden z nich bowiem nie znalazłby na dwóch króciuchnych szpaltach tej drobnej ćwiartteczki dostatecznego do popisu pola. Tam trzeba było obytego z ruchem miejskim, doświadczonego i popularnego wśród mas całych człowieka, któryby wiedział o tem, że pismo ma być podobne do Rossini'owskiego Figara, gotowego na usługi wszystkich i nie narażającego się nikomu. Redaktor i wydawca takiego organu powinien był stać się „przyjacielem miasta,“ wyrozumiałym, łagodnym i zadowolonym ze wszystkiego. W przeciwnym razie nie mógłby liczyć na żadne poparcie ze strony ówczesnego społeczeństwa.“ Ustęp to znamienny, w którym streszczono całą fizyognomię duchową pisma.

Uważnie przeczytałem książkę jubileuszową i ani razu nie odniosłem wrażenia, ażeby *Kuryer* sprzeniewierzył się zasadzie, która miała przyświecać jego narodzinom. Jest to dzisiaj pismo najzamożniejsze, lecz nadaremnie poszukiwalibyśmy w jego fejletonie talentu Sienkiewicza, dział polityczny bywa tam uprawiany w sposób tandeciarski (pod uwagę nie bierzemy telegramów), o krytyce zaś lepiej nie mówmy. Szły lata za latami, *Kuryer* podnosił się z nizin i upadał, redaktorzy zmieniali się, ale charakter duchowy pozostawał. Na czele pisma stawały niekiedy osoby, ożywione duchem obywatelskim, które usiłowały nadać gazecie fizyognomię odmienną nieco, ale krótkie były chwile ich panowania. Fabryka plotek otrząsała się z tego rodzaju dyrektorów, którzy zamiast patrzeć w ziemię, spoglądali w gwiazdy. Owszem, następowało doskonalenie — w duchu przeciwnym. Społeczeństwo nasze przyswajało sobie etykę handlu ślamazarnic i powolnie. Nasz swojski geszeft wszelkiego kalibru utykał długo w swoim rozwoju. spętany różnemi tradycyami i przesądami dawnych czasów, głoszącemi, że dobro publiczne tò najwyższa zasada, obowiązująca każdego chudopachołka. Nad karyerą lekarza panowała moralność wyższego rzędu, że zawód jego to rodzaj kapłaństwa; nad adwokacką, że żadne wykręty nie pozwalają mu zwalać zapisów obywatelskich ani podejmować się obrony pewnych zbrodniarzy. Epoka robigroszów stargała pęta, tamujące swobodę ruchów dziatwy Mamony. Adwokat zamienił się na najpospolitszego jurgeltnika, i napadnięty broni się, używając sofistyki, że, jak lekarz, musi się podejmować wszelkiej sprawy, dzienniki i pisma przestały dbać o coś innego, prócz geszeftu. Uczucie obywatelskie nie jest już podstawą, która tkwi w przedsiębiorstwie tego rodzaju, jako założenie zasadnicze, ale maską, którą przywdziewa dla ukrycia wewnętrznej nicości moralnej i duchowej. Brudna fala zalewa nasze życie umysłowe i przedostaje się do zakątków najoporniejszych, nawet nie oszczędziła literatury dla dzieci i odczytów — tandeta i banalność, demoralizacya i kłamliwość stają się coraz powszechniejszym rysem produkcyi umysłowej. „Tam potrzeba nie literata z talentem, ani też poważnego publicysty... ale człowieka. gotowego na usługi wszystkich i nienarażającego się nikomu,“ to hasło założycieli *Kuryera* grozi, że będzie ogólną zasadą dziennikarstwa i może literatury! Idea kultu Mamony potrzebowała dziesiątków lat na swoje wyklucie, ale wyrósłszy, wydała niebawem bujne kwiecie. Naturalnie, jest to wytwór głębszych sprężyn, spoczywających w całokształcie stosunków dzisiejszej doby historycznej. *Kuryerowi warszawskiemu* przypada zaszczyt, że był przednim posterunkiem tej nowej ery w naszem dziennikarstwie, że pierwszy wytresował sforę Sylfów i Weritusów, że przełamał lody dawnych uprzedzeń i umożliwił innym praktykę, nieskrępowaną przez żadne przesądy, że blagę podniósł do poziomu powszechnie stosowanej zasady w działalności publicystycznej, że w plotce zatopił inne działy.

Są jeszcze inne skutki, o których skromnie milczy książka jubileuszowa.

Na stronicach dzieła, poświęconego przedstawieniu historyi *Kuryera*, są częste wzmianki o młodych siłach, wprowadzanych do literatury za pośrednictwem tego pisma. Niewczesny to żart, świadczący o śmiałości tegoczesnych geszefciarzy, którzy gotowi są na wszelką reklamę, byleby pchnąć naprzód swój interes. Bo w gruncie rzeczy to wprowadzenie nowobrańców do piśmiennictwa było poprostu marnotrawieniem sił młodych, przyuczaniem talentów do blagi i tandety, obdzieraniem ich z entuzyazmu młodości i przyuczaniem do spoglądania na wszystko ze stanowiska natychmiastowego, pospolitego użycia. Kumoszka w drobnem miasteczku pytlowała swoim językiem, bynajmniej nie wygłaszając roszczeń do wdzięczności współrodaków za swoje zasługi obywatelskie. Inaczej bywa w dziennikarstwie, maskuje ono bowiem istotny charakter zajęcia i otacza go blaskami zwodniczymi. Zjawia się młody talent, umiejący potoczyście i wdzięcznie wypowiedzieć myśl swoją. Gdyby mu kazano spełniać obowiązki zwykłego plotkarza, odepchnąłby od siebie z pogardą perspektywę takiej niezbyt zaszczytnej przyszłości. Ale dziennikarstwo zaprzęga go do tej pracy w sposób zręczny, podnieca jego wyobraźnię, daje mu zakosztować przyjemności uznania. Opisał bal jakiś lub wyścigi, włożywszy sporo artyzmu w upiększenie bajki. Dzięki troskliwej uwadze redaktora, który powinien być „przyjacielem miasta,“ usunięto wszystko, co wykraczałoby po za banalny, acz artystyczny obraz. Ktoś inny rozpoczął od artykułów ekonomicznych, z których starannie usunięto wszelkie poglądy szersze. Prus, który przeszedł taką szkołę terminowania, świeżo z powodu książki jubileuszowej opowiadał publicznie, ile to wyrzucono jego fejletonów w *Kuryerze* za zbyt śmiałe porywy — a przecież był to już publicysta niepośledniej miary! Nie ugiął się, bo był — Prusem. Ale setki poddają się, tresura i otoczenie robią swoje. Zamiast publicysty wychodzi pospolity reporter, zamiast krytyka znowu reporter— zawsze i wszędzie plotkarz, obdarzony większym lub mniejszym zasobem smaku. Publicystyka wogóle nie sprzyja pracy poważniejszej, ale o ile jest ożywiona nie chęcią geszeftu, lecz uczuciem obywatelskiem, o tyle wyjaławia ona społeczeństwo z korzyścią dla przyszłości. Publicysta jest wtedy szeregowcem, który marnotrawi siły swoje na posterunku codziennych i bezpośrednich potrzeb kultury. Ale reporter występujący pod przyłbicą publicysty lub krytyka, jest zielskiem, które jedynie zachwaszcza niwę ojczystą. Zacne sylfy stanowią w życiu rozpatrywanego pisma postać najcharakterystyczniejszą, która jest jego niezaprzeczonym produktem. Do nich, chętnie lub z uporem, ale bądź co bądź musi przystosowywać się reszta. I szkoła, którą młode, cokolwiek głębsze pokolenie odbywało i odbywać musi. była właśnie tresurą urabiania charakterów i umysłów według miary „sylfów:“ napajano je blagą i przyuczano do tandety i lekkomyślności, odbierano wszelki ster w życiu prócz możliwości użycia materyalnego i pisania tego, co znajdzie pokup na rynku. W umyśle moim wypływają postacie paru towarzyszy z ławy szkolnej, których porwał ten przeklęty odmęt banalności i znikczemnienia. Niektórzy mogli byli wyryć imię swoje na stronicach historyi rozwoju rodzimego, nawet już zwrócili na siebie uwagę swojemi pracami historycznemi i świeżością swoich poglądów. „Wynalezieni“ przez sylfów i wciągnięci do *Kuryera*, skwitowali z historyi i przyszłości za pasztet w teraźniejszości, postępowe zaś przekonanie zamienili na nijakie, tj. takie jakie popłacają. W taki to sposób pismo owo wprowadzało młode talenty do piśmiennictwa! Świeżo z powodu śmierci Aleksandra Michaux (Mirona) dużo mówiono o tem, że zmarnował swoje zdolności. Były tam różne sprężyny, ale z tego, com słyszał, mniemam, iż deptak fabryki plotkarsko-reporterskiej nie mało przyczynił się do zmiażdżenia tej namiętnej, nerwowej, ale nie odpornej natury.

Takie są zasługi *Kuryera Warszawskiego* — główne. Niepodobna bowiem, ażeby

pismo, posiadające w ciągu wielu dziesiątków lat najpokaźniejszy w kraju zastęp czytelników, nie pozostawiło innego śladu. Ale wpływy dodatnie nikną wprost w powodzi sensacyi reporterskiej i wyglądają faktycznie jako ciało obce, pływające na powierzchni mętnego żywiołu. Pismo, ze skromnej ćwiarteczki, rozrosło się do paru arkuszy dziennie, rozporządza olbrzymimi dochodami, lecz nie przeniewierzyło się dawnym zasadom. Nie potrzebuje ono poważnego publicysty, który bezwarunkowo udusiłby się w atmosferze geszeftu i plotki. Zrozumiało wprawdzie wartość literatów z talentem, ale nie z przekonaniami — takich, których by można było zasadzić do nadawania nowinkom i plotkom formy artystycznej. Inne dzienniki, skromniej uposażone, umiały zdobywać się na drukowanie w odcinku rzeczy, które na długo pozostaną w naszej literaturze, *Kuryer* przekłada tandetę, byleby wątek powieści obfitował w efekty. W dziale krytyki rej wodzą okazy *a la* Zagłoba, zastępujące sumienność wrzaskliwością, artyzm — swadą rzeźnicką. Takiem było i takiem pozostało najpoczytniejsze u nas pismo. Książka jubileuszowa jest faktycznie obchodem wygnania z dziennikarstwa poważnego publicysty i zamiany zawodu dziennikarskiego na dworowanie miastu, jako ongi Stańczyk dworował królowi. Zresztą milczy ona skrupulatnie o wielu zasługach *Kuryera*. Zamieszczając nawet różne formaty druku, w jakich się ukazywał, zapomniała o podaniu chociażby jednego wzoru ogłoszeń, za których pośrednictwem pary, żądne przygód, nawzajem siebie wabiły, tembardziej zaś sławnego komunikatu p. Lewentala, wiecznego kandydata na prezesa gminy starozakonnej, w którym, skarcony przez księdza Rzewuskiego, usuwa z pisma dział stręczycielski — na dowód szacunku dla sukni kapłana oburzonego! Braknie także odpowiedzi od redakcyi, z których bezkarnie, jak z za płotu, ciskano błotem oszczerstwa w osoby nieposzlakowanej uczciwości i uczynności obywatelskiej. Natomiast książka zawiera ustępy, które mogłyby być pominięte — wycieczki przeciw osobom, niemile widzianym przez dyrektorów fabryki plotek i sensacyi. Nie świadczą one o wielkiej szlachetności ręki, która je wymierzała.

K. R. Żywicki.

WYSTAWA HYGIENICZNA.

II.

Dział hygieny ludowej w ciągu tygodnia ubiegłego uwydatnił się, zarysował wyraźniej i dał w znacznej części obraz idealny: takich urządzeń, jakie być powinny, tudzież wzory wyjątkowe, nieliczne w kraju. Bez wątpienia jest i to korzystne. Z przyjemnością wchodzimy do chaty chłopskiej czystej, przestronej, widnej, posiadającej obszerne izby, dwa okna, wysokie sufity. Ale takiej chałupy nie zdarzyło nam się widzieć w rzeczywistości śród ludu ubogiego. Można ją dać jako wzór dla tych, którzy mają środki na wznoszenie takich siedzib, z warunkiem wszakże, ażeby na niej dach słomiany zastąpiono innym materyałem niełatwo palnym. Jeżeli zaś chodziło o scharakteryzowanie istotne hygieny na wsi, należało obok domku wymarzonego wznieść rzeczywisty, umieścić tam kupę gnoju, służącego za legowisko chłopskie, ujawnić brud i zaduch tych mieszkań, służących zarazem dla ludzi i zwierząt.

Taki realny obraz z rzeczywistości opracował i uplastycznił p. Koskowski, prowizor farmacyi. Poświęcił on dużo pracy zbadaniu stanu zdrowotnego osady Łaszczów i owoce tej pracy, szczegółowe wymiary i wyliczenia zamknął w sporej księdze, wystawionej w rękopisie. Nadto dał model domu żydowskiego ze śródmieścia owej osady, który nam z całą prawdą maluje ohydę warunków sanitarnych. Mamy tam cheder podczas nauczania przepełniony dziećmi i zawierający 1,68% bezwodnika węglowego, izbę sypialną wraz z mieszkańcami o 4-ej w nocy, w której się znajduje bezwodnika węglowego 2,28%; piekarnię, która jest zarazem sypialnią, pełną nieładu i brudu; wreszcie — sklep z mieszkaniem. Po za tem p. Koskowski opracował bardzo ciekawą tablicę porównawczą zjadanych dziennie substancyj przez włościan i żydów w Łaszczowie.

Dalej widzimy modele mieszkań wyjątkowo wygodnych i zdrowych, mianowicie dziesięciorak we wsi Chotynie (dobra p. Gąsowskiego), ośmioraki: w Hucie Garwolińskiej (p. Hordliczki), we wsi Górzno (p. Wilkońskiego) i w Żelaznej (hr. Potockiego). Mieszkania te przybrano odświętnie, wymyto, wyczyszczono, dano nowe łóżka i świeżą pościel — na pokaz. W rzeczywistości niewątpliwie mniej są one powabne, a ze względu że należą do nielicznych wyjątków, nie dają pojęcia o ogólnym stanie mieszkań w kraju dla służby dworskiej.

Osobną grupę hygieny wiejskiej wzięło w orędownictwo Towarzystwo opieki nad zwierzętami. Na pierwszym planie mamy model obory w Grodźcu (pow. Będziński) p. St. Ciechanowskiego. Jest to rzeczywiście urządzenie wzorowe: podłoga asfaltowa, pomieszczenie obszerne (osobne dla cieląt), specyalne wózki na szynach dowożą paszę. Chlewnia, kurniki, wóz do przewożenia trzody chlewnej, są cząstką wzorowego gospodarstwa p. Izabeli Ryx (Prażmów p. Grójec). W dziale tym znajdujemy jeszcze wiele innych ciekawych i pożytecznych rzeczy, jak np. bardzo prosty ze sznurków przyrząd, rodzaj klatki, do noszenia drobiu, ażeby go nie męczyć, poidła dla psów miejskich itd.

Bogactwo i rozmaitość samodziału—wyrobów tkackich włościańskich, zdala od miasta wykazuje nietylko pewnego rodzaju poczucie smaku śród ludu, ale zarazem... zanik jego w okolicach podmiejskich. Lud chętnie nabywa tandetę małomiasteczkową, która, zdaniem lekarzy, zawierać może bakterye chorobotwórcze, jako wyrobiona w niechlujstwie. Krosna wraz z pracownicą przedstawiają poglądowo publiczności ten jeszcze pierwotny, otoczony aureolą typ rękodzielnictwa, zanikający pod naciskiem przemysłu wielkiego. Nieopodal znajdujemy kolekcyę przedmiotów „cudownych,“ odgrywających ważną rolę w lecznictwie ludności ciemnej: kawałek aerolitu, uzdrawiającego dotkniętych cholerą i wiele innych lekarstw, tudzież talizmanów.

Przyczynkiem do charakterystyki zorganizowanej pomocy lekarskiej na prowincyi jest mapa okręgów szpitalnych w Królestwie Polskiem, opracowana przez dr. Henryka Dobrzyckiego.

Wreszcie do najważniejszych szczegółów zdrowotności po za wielkiemi ogniskami życia zaliczyć należy stan rzeźni małomiasteczkowych. Ten opłakany obraz lekceważenia zdrowia bez żadnych osłonek scharakteryzował dr. F. Tchórznicki w osobnej książce („Pilne sprawy hygieniczne“) i jednocześnie podał projekt tudzież plan rzeźni wzorowej. Mamy ją także i na wystawie, nawet w naturalnej wielkości; ale dlaczego tak wyborny znawca zdrowotności prowincyonalnej nie przedstawił jednocześnie jej istotnego stanu? Dlaczego obok schludnego budynku nie umieścił starej rudery na czterech słupach nad brzegiem kanału lub stawu, z głębokim dołem, wiecznie zapełnionym, z podłogą zgniłą i dachem obdartym? Dlaczego przynajmniej w modelu nie dał brudnej izby żydowskiej lub stodółki, gdzie rzeźnicy odnoszą mięso rozćwiertowane i sprzedają? Prawda, byłoby to i nieestetycznie i niepponętnie; ale wystawa hygieniczna nie może być jedynie nagromadzeniem wzorów idealnych lub wyjątkowych. Społeczeństwo bowiem nasze obchodzi głównie to, jak się odżywiają i mieszkają masy ludności ubogiej, w jakich warunkach jest ona podczas pracy i spoczynku. Trzeba więc utrwalić w pamięci ogółu obraz warunków rzeczywistych.

Takim wzorem, łatwym do wprowadzenia, jest między innymi rzeźnia, zaprojektowana przez dr. Tchórznickiego. Powinna ona być zupełnie bezwonna, a wtedy można ją wznieść w każdem miejscu, bez niebezpieczeństwa dla mieszkańców. Należy ją zaopatrzyć w wodę do spłókiwania i mycia wnętrzności zwierząt z urządzonej w pobliżu studni lub pompy. Budynek powinien być pod przykryciem z drzewa, posiadać normalny przewiew, lodownię do chowania mięsa podczas lata, sklep, dobre ścieki, odprowadzające nieczystości daleko, ale nie do kanałów lub stawów. Podłoga asfaltowa, stoły z bardzo twardego drzewa, ażeby nie nasiąkały krwią i dały się łatwo obmywać. W jatkach mięso ma wisieć u sufitu na kołkach, nie dotykając ścian, gdyż krew ściekająca po nich gnije i rozszerza zarazę.

Wzór takiej rzeźni już raz mieliśmy na pierwszej wystawie hygienicznej w Warszawie r. 1887. Po latach dziewięciu żadne nasze miasteczko nie zdobyło się na tak ważne urządzenie zdrowotne. Czy i obecna wystawa po zaspokojeniu ciekawości publicznej nie da żadnych rezultatów w czynie? Twórcy tego popisu dla nagromadzenia okazów i wszelkich danych musieli zajrzeć zapewne do wielu zakątków kraju, zawiązać z nimi stosunki, przynajmniej listowne; powinni więc stworzyć jakiś stały komitet, który poświęciłby swoje usługi na pośredniczenie w naprawie zdrowotności prowincyonalnej.

Bardzo ładnie wyglądają — na wystawie — kąpiele natryskowe. Urządzenie ich, jak nas zapewniano, nie jest kosztowne, a jednak od lat, zdaje mi się, dziesięciu ciągle słyszę o zabiegach, mających na celu wprowadzenie w życie tych niezbędnych środków naprawy zdrowia ludności ubogiej.

Poprzestając na pobieżnym przeglądzie powyższego działu, winniśmy zaznaczyć, że teoretyczna i praktyczna praca d-ra Tchórznickiego w tym zakresie zasługuje na uznanie i poparcie społeczeństwa. Co do luk i braków na wystawie, należy je poniekąd przypisać i temu, że komitet działa o własnych siłach, że gdy wszystkim innym sekcyom główni gospodarze dali pomieszczenie, jedna tylko — hygieny ludowej, musiała sama wznosić sobie budynki.

W głównym pawilonie wystawy pokaźne miejsce zajęły urządzenia i środki zdrowotne kolei: Wiedeńskiej, Nadwiślańskiej, Dąbrowskiej, Terespolskiej, Petersburskiej i Poleskich: wagony sanitarne, a w nich łóżka z kołdrami... atłasowemi, ambulatorya, model przytułku w Chełmie dla chorych pracowników kolejowych, bardzo ciekawe tablice graficzne chorób i śmiertelności, obliczenia sześciennej zawartości powietrza w domach mieszkalnych kolei Nadwiślańskiej, ładne skrzynki opatrunkowe stacyjne i apteczki, nosze i wiele, wiele innych środków, które w znacznej części wyleczeni i niewyleczeni lub cudownie ocaleni pracownicy kolejowi i podróżni mogą po raz pierwszy w życiu zobaczyć... na wystawie. Nie wiem, czy wielu jest szczęśliwych konduktorów, który jeździli kiedykolwiek w takim brankardzie wzorowym, obszernym,

oszklonym, zakrytym od słoty i wichru, z wygodnem urządzeniem i umeblowaniem wewnątrz. Szkoda, że obok niego nie wystawiono tej ściany wagonowej z ganeczkiem kilkocalowej szerokości, to jest brankardu rzeczywistego, zjadacza najtwardszych, najodporniejszych organizmów. Na inne, zachowujące zdrowie i siły „służby ruchu,“ koleje dotąd zdobyły się tylko w formie modelów.

W pawilonie głównym umieszczono również nasze miejscowości lecznicze: Solec, Busk, Ciechocinek, Niekłań, Żegiestów (jedyne na wystawie źródło galicyjskie) i Nałęczów, wyróżniający się bogactwem okazów rysunkowych i plastyką modelową.

Dość obficie, acz nie wyczerpująco, zgromadzono owoce prac specyalistów — dane statystyczne w tablicach graficznych i mapach z zakresu zdrowotności powszechnej lub pokrewnych z nią dziedzin: Statystyka urzędowa m. Warszawy, opracowana przez prof. W. Załęskiego i p. M. Ciemniewskiego. Statystyka z zakresu stosunków ludnościowych i rolnictwa w Królestwie Polskiem, opracowana w 24 mapach przez p. A. Zakrzewskiego. Dane, dotyczące urodzeń, zgonów i przyrostu ludności w Warszawie od r. 1878 do 1893, opracowane przez d-ra Polaka. Mapy p. R. Danielewicza (ruch ludności i śmiertelności w Królestwie Polskiem 1888—1892). Dalej znajdujemy prace d-ra Nenckiego, wyniki badań nad powietrzem i jego wartością w różnych stadyach dla płuc ludzkich, skrupulatnie opracowane przez przyrodnika p. Boguskiego, przyrządy i dane antropometryczne p. Danilowicza-Strzelbickiego i wiele innych. Z tego samego zakresu (w dziale hygieny ludowej) dr. Tomaszewicz-Dobrska wystawiła obfite owoce swej pracy: pomiary ciała dzieci ubogich m. Warszawy, wykazane przed wyjazdem na kolonie letnie i po powrocie. Obok zaś widzimy: stosunek wartości niektórych pokarmów do ceny targowej w Warszawie r. 1894 i pożywność pokarmów (tablice d-ra Peltyna), wizerunki kurzu w przemyśle tkackim (opracował dr. Sterling).

Osobno umieszczono pogotowie ratunkowe, którego świetna organizacya, oddająca wielkie usługi ludności Wiednia i innych miast zagranicznych, ma być wkrótce zaszczepiona na gruncie warszawskim. Budynek, jako wzór przedstawiony w naturalnej wielkości i zrobiony przeważnie z masy papierowej i płótna (sprowadzony z Czech), mały, ale przy umiejętnem wyzyskaniu przestrzeni — zupełnie wystarczający. Jedną izbę przeznaczono dla straży ratunkowej, drugą na salę opatrunkową i operacyjną. Nadto osobny jest pokoik dla lekarza dyżurnego. Wozy dla dotkniętych nagłą chorobą i lektyki (kilka typów) urządzono z uwzględnieniem możliwie największej wygody i bezpieczeństwa.

Nie będziemy szczegółowo rozpatrywać tych gałęzi przemysłu, które udoskonaleniami technicznemi służą ku pomocy hygienie, gdyż zbyt dużo zabrałoby to nam miejsca. Nadmienię tylko, że i ten dział bogaty dano na wystawie w małym ułamku; pominięto mnóstwo wynalazków i urządzeń, ochraniających zdrowie i życie ludzkie przy pracy fabrycznej. Natomiast pokazano publiczności, jak się robi... czekolada, tj. ułatwiono przedsiębiorcy dobrą reklamę.

Jeden z najważniejszych działów, który na wystawie należy się pierwsze miejsce — kanalizacya i wodociągi warszawskie (ze stacyą filtrów), potężny czynnik uzdrowotnienia miasta, zajął skromny kącik w małym budyneczku. Pomyślano o nim w ostatniej chwili, rozwieszono trochę planów i fotografij, niedających dokładnego pojęcia o tem wielkiem dziele. (Modelów dotąd nie wystawiono). Pominięto wreszcie nadzwyczaj ważne uzupełnienie statystyczne, które powinno wykazać, o ile miasto nasze podniosło się pod względem sanitarnym w ciągu ostatniego dziesięciolecia, tj. od chwili, gdy ludność zaczęła korzystać z tych urządzeń. Jeżeli na to wszystko zabrakło środków gospodarzom wystawy, to należało jednak ten wspaniały obraz wzmocnienia hygieny miejskiej pokazać publiczności chociażby kosztem studni artezyjskiej, dawnego ratusza, dioramy starej Warszawy i wielu innych rzeczy mniej ważnych.

Zen. Piet.

PAMIĘTNIK.

Zdolni do wszystkiego.

Po śmierci Józefa Przyborowskiego zawakowała posada bibliotekarza u hr. Zamojskich. Jak doniosły dzienniki, po ten kawałek chleba, zresztą dość skromny, sięgnęło aż 30 rąk. Z tak licznego zastępu współubiegających się możnaby wyciągnąć wniosek, że posiadamy wielu bibliografów bez zajęcia, gdyby z objaśnień prywatnych nie padało na tę sprawę całkiem inne światło. Oto między kandydatami są ludzie wszelkiego rodzaju, zdolni do rozmaitych zajęć, ale nie do tego, mianowicie: komedyopisarze, noweliści, sprawozdawcy teatralni itd. Jakkolwiek posiadacze wielkich bibliotek mają z niemi tylko ten związek, jaki wypływa z tytułu własności i więcej znają się na koniach niż książkach, trzeba im przyznać pewien instynkt, czy przezorność, która zwykle strzeże ich od grubych omyłek i wskazuje wybór trafny. Nie obawiamy się też, ażeby cenna biblioteka Zamojskich wpadła w niewłaściwe ręce, ale zaznaczyć chcemy nowy dowód lekkomyślności, braku poczucia obowiązku i pochopność do zajmowania synekur śród tych warstw inteligencyi, które powinnyby raczej tępić złe oddawna zakorzenione, niż je mnożyć. Dziennikarz, wdzierający się na stanowisko bibliotekarza, jeśli ma bodaj odrobinę samopoznania, wie dobrze, że nie jest do tego przygotowany, że potrzebnych wiadomości prędko nie nabędzie, że inne zajęcia nie pozwolą mu poświęcić czasu tej pracy, jednakże radby ją zdobyć — dlaczego? Poprostu dlatego, ażeby tanim kosztem złapać kilkaset rubli stałej pensyi, ażeby opanować nowe źródełko ciągłego dochodu, za który można będzie pokwitować się sposobami oporetkowymi — odwiedzaniem od czasu do czasu miejsca obowiązku i spychania całego mozołu na jakiegoś biedaka, na licho wynagradzanego pomocnika, który jest wołem roboczym synekurzysty. Ta moralnie wstrętna a społecznie szkodliwa szacherka przybrała u nas tak olbrzymie rozmiary, że opinia publiczna powinna ją postawić na porządku dziennym swego przeciwdziałania i nagany.

Hygiena mowy.

Nie potrzebujemy wykazywać i zapewniać, ile postęp badań naukowych i praktyczne korzyści społeczeństw zawdzięczają specyalizacyi. Człowiek, zajmujący się wieloma rzeczami, nie dochodzi nigdy ani do tej wiedzy, ani do tej wprawy, co zajmujący się jedną. Wobec coraz większych wymagań, jakie życie stawia jednostkom, biorącym czynny a poważny w niem udział, owa specyalizacya, częstokroć doprowadzona do najdrobniejszych rozgałęzień, stała się dziś koniecznością niemal w każdym kierunku pracy. Niestety, stary grzech encyklopedyzmu, który nas obciąża od wieków, nie pozwala rozwijać się należycie ani naszej nauce, ani naszym działaniom praktycznym. Pragniemy być wszystkiem i dlatego jesteśmy niczem. Na tem większe odznaczenie zasługują nieliczne u nas objawy skupienia swych sił w pewnym określonym zakresie, zwłaszcza gdy one mają na względzie istotny pożytek społeczeństwa. Dr. Ołtuszewski od lat wielu zajmuje się badaniem fizyologii mowy i leczeniem jej zboczeń (jąkania, bełkotania itp.). Nie poddajemy tu krytyce ani jego wywodów, ani wyników jego metody, podnosimy tylko fakt, że on jeden śród lekarzy polskich poświęca się tej specyalności, on jeden daje ratunek w tem dotkliwem kalectwie i on jeden zbogaca naszą wiedzę przyczynkami naukowymi. W roku bieżącym wydał już dwa: „Rozwój mowy u dziecka oraz stosunek tego rozwoju do jego inteligencyi“ (str. 80), a obecnie „Hygienę mowy“ (str. 57). Na obie te broszury zwracamy uwagę ogółu, a zwłaszcza rodziców, zaniedbujących nieraz w swych dzieciach ułomność, która wcześnie i umiejętnie leczona może być usunięta, a później staje się chroniczną i dokuczliwą wadą. Jeżeli wystawa hygieniczna nie jest dla nas tylko miejscem rozrywki, a hygiena pustem słowem, które często pojawia się na ustach a rzadko w umyśle, to powinniśmy i tej jej cząstki nie zaniedbywać.

Zmiana podręczników.

Poruszaliśmy już niegdyś sprawę chaosu, panującego w stosowaniu różnych podręczników szkolnych. Wogóle stanowią one bardzo poważną rubrykę wydatków, gdyż książki, przeznaczone dla wszelkich zakładów naukowych są zbyt drogie dla większości. Koszty te wszakże znacznie się podnoszą skutkiem nagłych, nieprzewidzianych zmian. Rodzice zaopatrują swego syna w książki według przepisów, wydają na to kilkanaście rubli, gdy naraz dowiadują się, że wszystkie one nic nie są warte, że trzeba je zmienić na nowe. Przybywa więc jeszcze kilkanaście rubli kosztów. Cóż nowego może być w podręcznikach z zakresu historyi, filologii, wypisów, gramatyk łacińskich, greckich, francuskich, niemieckich, geografii, szablonowo oddawna układanej? Nic! Przeciwnie— częstokroć taki nowy podręcznik o wiele jest gorszy od poprzedniego. Nagła więc zmiana, wynikająca jak gdyby z kaprysu pedagogów, jest dla nas dziwną zagadką, a dla całych rzesz kształcących swą dziatwę, wielkim ciężarem.

Obecnie na tę ważną sprawę, obchodzącą cały ogół, zwrócił uwagę *Warszawskij Dniew.*: „Corocznie w jesieni z początkiem roku szkolnego wśród rodziców panuje wielki niepokój, synowie ich bowiem i córki, wracając z klasy, raz po raz przychodzą z nowiną, że tę lub inną kosztowną książkę, kupioną częstokroć w poprzednim roku, jako niezbędny „z decyzyi rady pedagogicznej“ podręcznik szkolny, uznano już za nieopowiadającą celowi, i że trzeba kupić inny. Nadomiar władza szkolna domaga się tak usilnie, aby dla porządku wszyscy uczniowie kupili natychmiast wskazane książki, że rodzice, nie chcąc narażać dzieci na nieprzyjemność, spełniają niezwłocznie to polecenie. Rozumie się, że dla zamożnych nie stanowi różnicy; większość atoli uczniów gimnazyalnych należy do uboższych, albo średnio-zamożnych sfer ludności urzędniczej i mieszczańskiej, której środki materyalne nie pozwalają nieraz wnieść na czas opłaty szkolnej i dla której wszelki nadzwyczajny wydatek jest już poważnem naruszeniem budżetu. Nie dziwnego przeto, że często słyszeć się dają skargi pod adresem władzy naukowej; czasem jest w nich może trochę przesady, gdyż przy przejściu ucznia z klasy do klasy zmiana podręcznika bywa nieraz konieczną, lecz dużo w nich zawsze pozostanie słuszności. Z najpobieżniejszego choćby przeglądu

podręczników, używanych tylko w gimnazyach warszawskich, uwydatnia się jaskrawo brak jednostajności. Jak wiadomo, programy ministeryalne przedmiotów wykładanych obejmują również spis podręczników, jakimi uczniowie mają się posługiwać; zdawałoby się więc, że we wszystkich gimnazyach powinny być te same książki. Tymczasem w praktyce zgoła tego nie widzimy."

Nauczyciele mają gotowy argument: "Chaotyczność na punkcie wyboru książek posiada zupełnie legalne uświęcenie rad pedagogicznych. Dla rodziców nie będzie to wyjaśnienie ani pociechą, ani ulgą. Jest to zjawisko stałe. *Warsz. Dniew.* zwraca uwagę jeszcze na inne: przypadkowe, zależne od widzimisię rady pedagogicznej. Po skończeniu roku szkolnego personel nauczycielski zbiera się na specyalne narady, na których zapada pod pieczęcią najściślejszej tajemnicy uchwała, jakie zmiany trzeba wprowadzić w następnym roku, wobec czego ci rodzice, którzy nabyli w lecie książki, wskazane w spisie roku poprzedniego, mają tę miłą perspektywę, że pewną ich część muszą zastąpić innemi. Sesye rad pedagogicznych mają jeszcze inną cechę szczególną: oto za każdym razem oddalają coraz bardziej faktyczny program podręczników w każdem gimnazyum od programu urzędowego, jednostajnego dla wszystkich, i tą drogą sprowadzają do zera znaczenie owego programu."

Dodajmy, że fakty takie są zjawiskiem codziennem nietylko w gimnazyach, ale i na pensyach prywatnych, które bezcelową chaotyczność posuwają jeszcze dalej. Pewnego poranku każą np. uczenicom przynieść dziesięć kajetów w oprawie niebieskiej, gdy już one kupiły w zielonej i zapisały po parę stronic. To samo dzieje się z wielu innymi drobiazgami, z których rosną poważne sumy. Jest to już karygodny kaprys, który należałoby poskromić radykalnie.

Skutki spekulacyi.

Korespondenci łódzcy podali następujący wypadek: Przed kilku dniami podmajstrzy mularski, prowadzący roboty około kamienicy dwupiętrowej przy ul. Widzewskiej, spostrzegł, iż ściana frontowa nagle zarysowała się na całej wysokości. Z trzaskiem budowli zaczęły tu i owdzie wypadać cegły. Świadek krzyknął na 30 pracujących mularzów i robotników, aby natychmiast uciekali, bo dom runie. W istocie zaledwie ostatni zdołał umknąć, gdy cała połowa domu z wielkim łoskotem runęła na wysokości dwu pięter. Ktoś po obejrzeniu tego rumowiska twierdzi, iż belki na obu piętrach wpuszczone były w mur na trzy, może cztery cale, że obie ściany klatki schodowej zbudowane były na jedną cegłę grubości, że dom, przylegający obu bokami do dwu kamienic, nie miał wcale ścian bocznych, lecz zwyczajem łódzkim, *pożyczył* je od przyległych budowli. Fakt ten wybornie maluje wszechwładną spekulacyę i szerzące się oszustwo w przedsiębiorstwie budowlanem. Gdy w roku przeszłym zdarzył się podobny wypadek, postanowiono „budowniczych" i aferzystów łódzkich wziąć pod ścisły nadzór specyalnej komisyi technicznej; naradzano się w miejscowym oddziale Towarzystwa przemysłu i handlu nad środkami, zwiększającymi odpowiedzialność spekulantów i ich najemników, kierujących robotami. Zamierzono wreszcie z tej ostatniej kategorii usunąć zupełnie ludzi, nieposiadających żadnych kwalifikacyj fachowych.

Wobec tego, iż gorączka budowlana wzrasta gwałtownie we wszystkich większych miastach, szczególnie tam, gdzie zapanował wielki przemysł; że zdrowie i życie tysięcy ludzi jest zagrożone, należałoby tego rodzaju spekulantów i aferzystów podciągnąć pod kategoryę przestępców kryminalnych, wreszcie rozwinąć surowe środki zapobiegawcze. Podobno jeden z inżenierów ma założyć w Łodzi laboratoryum rozbioru chemicznego trwałości materyałów budowlanych i stara się o uzyskanie przepisu, ażeby przed rozpoczęciem każdej budowli materyały te bezwarunkowo poddawano ocenie. Niechże takie laboratorya istotnie powstają, ale nie jako przedsiębiorstwa prywatne, lecz publiczne instytucye miejskie. Niech wreszcie wszelkie komisye, złożone ze specyalistów, dadzą świadectwo swej energii, a ogółowi rękojmię bezpieczeństwa.

Wrażenia z podróży.

P. Józef Niemir wybrał się w podróż olbrzymią: z Warszawy do Władywostoku. Ztamtąd ma wracać przez całą długość Syberyi do Europy. Na takiej przestrzeni, wynoszącej dziesiątki tysięcy wiorst, można wiele ciekawych rzeczy zobaczyć, wiele nowych, pożytecznych szczegółów zebrać i podzielić się nimi z ogółem. To właśnie miał zapewne na myśli p. Niemir i w tym celu zaczął umieszczać swoje wrażenia w *Kuryerze warszawskim.* Ale jakież to są wrażenia? Dowiedzieliśmy się, że turysta pojechał drugą klasą do Odesy, że zapłacił za tę podróż 13 rs. 50 kop., że miał w drodze przygodną towarzyszkę, że spotkał się z niejakim panem Janem, przedstawicielem pewnej firmy warszawskiej (korespondent nie omieszkał natychmiast jej zareklamować); że w drodze przesiadali trzy razy, że w Odesie obrali hotel Krymski dlatego, że właściciel „zasługuje na poparcie," że wreszcie kolacyę jedli w innym hotelu, gdzie „jedzenie i piwo na kufle w obszernym, ładnie urządzonym salonie, smaczne i tanie." Odesę turysta charakteryzuje w ten sposób: „Miasto rozległe i piękne. Z budynków publicznych wyróżniają się: teatr, magistrat, biblioteka publiczna, sądy itd." W drodze do Odesy p. Niemir ucieszył się bardzo, że znalazł towarzysza podróży aż do Władywostoka, bo byli w równych warunkach: drugiej klasie wagonu. Na statku morskim rozstali się jednak, bo tam warunki uległy znacznej zmianie: p. Niemir miał bilet do kajuty I-ej klasy (Odesa-Władywostok rs. 500 z całodziennem utrzymaniem), a pan Jan tylko do kajuty tak zwanej „pokład ulepszony," kosztujący rs. 170 za tę samą przestrzeń. Jak widzimy, p. Niemir lepiej scharakteryzował własną osobę, niż podróż swoją, którą opisuje jak szeregowiec nowozaciężny w listach do rodziny. I za to jednak wdzięczni mu będą przedsiębiorcy zareklamowani. Turysta podał tylko jeden ciekawy szczegół mimochodem. Oto dowiedzieliśmy się, że pojechał w interesie „pewnej postępowej i energicznej grupy przemysłowców, którzy nie zwykli się cofać przed ofiarami materyalnemi, gdy idzie o przewidywane zwiększenie wytwórczości krajowej." Jest to więc objaw ruchu bardzo pożądany, świadczący, że owi przemysłowcy postanowili zbadać na miejscu warunki rynków dalekich.

BADANIA NAUKOWE.

NA KRESACH WIEDZY.

Znakomity uczony, Max Planck, drugi poważny przeciwnik niemiecki nowego poglądu na świat, krytykuje energetyczną teoryę wogóle, lecz nie specyalnie tę jej formę, w której ją Ostwald przedstawia (Max Planck, rozprawa zamieszczona w Annal., zeszyt pierwszy, 1896 r.). Niektóre pojęcia energetyki nie mają, podług niego, żadnej racyi bytu. Tak naprz. *energia objętości* (Volumenergie) przedstawia się matematycznie przy pomocy pewnego wzoru, który, jak wiadomo, żadnej wielkości realnej nie wyobraża. Nie mniej jednak, niepodobna twierdzić, jakoby w nowym systemacie naukowym żadne „zdrowe ziarno" nie tkwiło. Energetyka może nam dopomódz w rozwiązaniu wielu problematów fizyki teoretycznej, nie zastąpi jednak całkowicie mechaniki, której jest tylko pewną częścią. Wiele jej zasad jest znacznie ogólniejszych, niż teorya energetyczna. Dość naprz. wspomnieć tak zwaną w mechanice „zasadę Hamiltona." Bezwątpienia, energetyce nie przeczy żaden znany fakt, nie może jednak ona być nam pomocną w odkrywaniu zjawisk nowych, nieznanych. Rozwój jej kosztem mechaniki ogólnej byłby, według Plancka, dowodem cofania się wiedzy, nie jej postępu.

Teorya Ostwalda poruszyła również umysły i po za granicami Niemiec. Namiętnie przeciw niej wystąpił Cornu, wiceprezes paryskiej akademii nauk. Brak naukowego spokoju u poważnego uczonego przypisać zapewne należy owemu „przykremu uczuciu" (*sentiment penible*), które wywołały burzycielskie poglądy uczonego lipskiego. Nieprawdą jest, twierdzi Cornu („L'atomisme est-il en dé route?" *Revue gen. des Sciences*; 1895), jakoby prawa mechaniki bankrutowały. Przeciwnie, jest ona dzisiaj „w pełnym rozkwicie; dźwięk, światło, ciepło, elektryczność i magnetyzm uszykowały się obecnie w dziedzinie wiedzy, podległej aksyomatom mechaniki teoretycznej; tylko na zasadzie zgodności zjawisk, powiązanych przez systematy mechaniczne, można sądzić o stopniu rozwoju i postępie wiedzy." Teorye optyczne Fresnela bynajmniej nie były zburzone przez pogląd elektro-magnetyczny Hertza; są one z nim w zupełnej harmonii. Bezwątpienia, nie wszystkie zjawiska fizyczne możemy teraz objaśnić; przypuszczać wszakże należy, że z czasem da się to uskutecznić, dzięki coraz rozleglejszym uogólnieniom. Na przeszkodzie obecnie nam stoi nieznajomość wewnętrznej budowy ciał ważkich i nieważkiego środowiska (*milieu*, eteru), wypełniającego wszelką próżnię.

W bardziej spokojnym tonie jest utrzymaną krytyka Brillouina, profesora wyższej szkoły normalnej paryskiej (Pour la matiere" *Revue gen. des Sciences*). Przytaczam tutaj tylko główniejsze jej punkty. Znamy materyę — powiada Ostwald — tylko dzięki jej własnościom. Jeśli więc własności podobne istnieją, musi również istnieć i materya. Zasada jej zachowania jest ogólniejszą, niż zasada zachowania masy i lepiej zjawiska przyrody tłomaczy. Pomimo tych ważnych zaprzeczeń, znać ze słów Brillouina, że się z ogólnemi twierdzeniami Ostwalda zgadza, czemu prawdopodobnie należy przypisać ten fakt, iż jemu tylko jednemu Ostwald odpowiada na krytykę obroną swych poglądów. Dotychczasowe teorye naukowe — pisze on — zrobiły swoje i muszą ustąpić miejsca nowym, opierającym się na danych energetyki. „Teorya optyczna przyszłości będzie uznawała w przestrzeni tylko energię, której gęstość (*densité*) będzie funkcyą peryodyczną czasu i współrzędnych; funkcya ta wyrazi wszystko, co wiemy o własnościach fizycznych światła. Jeśli dla przedstawienia świata zewnętrznego koniecznymi są symbole, to dostarczy ich energetyka, lecz jej „symbole nie będą zawierały nic więcej ponad fakty, które pragnie ona wyobrazić."

Teorya energetyczna, chociaż posiada wiele stron słabych, stanowi jednak — ja-

kimkolwiek będzie jej los — znamienny objaw w rozwoju wiedzy. Dowodzi ona wyraźnie odwiecznej dążności nauki do uogólnienia swych twierdzeń, do zmniejszania ilości zasadniczych swych pojęć, których „liczba i jakość (jak twierdzi prof. Wł. Natanson w swym pięknym odczycie p. t. „Materya i energia“) zależy od stanu nauki.“ „Materya, eter i energia wzajemnie sobie zawadzają“ (Natanson); być może pierwsza z nich będzie kiedyś zastąpioną przez energię, czas i przestrzeń. Być może, że wszystkie nasze pojęcia zasadnicze zleją się w jedno, najogólniejsze. Jakkolwiek jednak się stanie, możemy, zdaje się, twierdzić, iż wiedza nasza cel swój osiągnie, gdy wszystkie swe abstrakcye zastąpi jedną ogólną, gdy wszystkie swe prawa połączy w jedno wielkie, wszechświatowe, z którego wszelkie inne, jako wypadki szczególne, z wzoru ogólnego wyprowadzać się dadzą. Bo wówczas wszelkie zjawiska przyrody będziemy mogli objaśnić, wszystkie fakty przyszłe przewidzieć, wszystko znać i wszystko rozumieć. Czy jednak owa chwila odległa zwycięztwa myśli ludzkiej nad wszechpotężną dzisiaj przyrodą kiedykolwiek nastąpi? Czyż nie mamy powodu przypuszczać, że przedtem zagaśnie źródło wszelkiej energii ziemskiej, życiodajne słońce? Lub, być może, wprzódy jeszcze ziemia nasza, kataklizmem jakimś olbrzymim ze swej drogi odwiecznej strącona, runie w bezmierną przestrzeń, jako martwa bryła, jako zimny i ciemny grób wszelkiej myśli i wszelkiego życia.

Michał Mutermilch.

LITERATURA I SZTUKA.

ŻYDZI I CHŁOPI SEWERA.

II.

„Jutrzenka zaświtała blado i zimno, wychylając się z po za ciemnych gór, zasłaniających świat od południa. W miarę wzmagającego się światła ukazywało się niebieskawo-zielonawe niebo, po którem nizko płynęły rozwieszone płachty chmur napęczniałych deszczem. Szmat ziemi objęty ludzkim wzrokiem gnębił ponurością smutku. Wśród morza nieruchomej mgły sterczały czarne, wielkie drzewa; z liści ich spływała dużemi kroplami woda, drażniąc jednostajnością uderzeń. Wierzchołki starych dachów chat wydobywały się z powodzi oparów, zimno przejmowało do kości, nieruchoma martwota, przy jękach wiatru w górze, przerażała, pędziła duszę w krainy słońca i ciepła...“

Spostrzegamy się, że jesteśmy tym razem na wsi, — na przeciwległym krańcu tej naszej rzeczywistości, która tak samo nęka i nuży nas często po miastach monotonnością swych gwarów i szwargotów, dymem lub kurzem swych kuchennych i rajfurskich zabiegów, szarzyzną i nędzą łatanych swych kurtek i brudnych chałatów, jak na tych północnych stokach Karpat—w *Biedroniach**) nuży i nęka swą pustką, swem zacofaniem, swemi alternatywami słoty i senności. Tam, ukryci po za grubemi ścianami kamienic, nie wiemy często, czy jest dzień, czy noc, wieczór czy poranek, obłoków zaś nad sobą mamy zaledwie tyle, co w kłębkach cygara; tu, aż mdło się robi od przeładowanej obfitości powietrza, nieba i niemilknącego nigdy ich duetu: deszcz to pogoda, — pogoda to deszcz. Tam wiekuisty harmider i ciasnota jak w bóżnicy podczas szabasu, tu na wielkanoc nawet cisza i przestronność taka, że choć pod ziemię przed niemi się chowaj. Tam, stary Topaz zakłada ci uszy wiekuistemi narzekaniami, że Zyzma go okradł, zysk oczywisty z rąk wydarł i w dodatku dziatwę demoralizuje, odwodząc ją od niemylnego zakonu ojców, — uczony Daniel bez przerwy mózg ci świdruje projektami spółek, szkółek, dzienników, przebiegły Blum wyzyskuje cię na rozmaite przedsiębiorstwa patryotyczno-demokratyczne u biurokratów wiedeńskich i w lasach szlacheckich, obłudny Fuchs w oczach twoich farbuje sztandar liberalny na konserwatywny, centralistyczny na automistyczny, hebrajski na niemiecki, niemiecki na palestyński i pokazuje, że jest najczyściej, najprawowiciej polskim; — a tu pośród tych falujących po za najokazalsze widnokręki niw i pagórków, dokoła tej osamotnionej zagrody twardego kutwy Biedronia, dokoła sterczącej przy niej w oddaleniu niby wiecheć chałupy wdowiej, gdzie Marcinowa mieszka ze swą krową,—wiatr tylko rozpędza się, świszczy i hula na mil sto może wszerz i wzdłuż... a na całą osnowę dziejów — hen, tam, nad parowami, na pożółkłym jesiennym wygonie, Jaś Biedrończuk z Zośką Marcinówną strzegą bydełka, by za wiatrem nie poszło...

„Wiatr akurat uciekł przed chwilą do lasu i legł w rozpadlinach. Latające po niebie czarne płachty rzedniały, rozciągając się wolno w przestrzeni. Ociepiało. Zrobiło się szaro, nudno, posępnie. Bydło niechętnie skubało trawę, świerki ściemniały, cały świat zamroczył się, osowiał. — dzieci na pastwisku posmutniały. Chmury, dotykające prawie ziemi, powoli dźwigały się w górę. z nieba zaczął padać drobniutki deszcz, jakby sitem siał. Parno się robiło, deszcz gęstniał, grubiał, padając na ziemię równo, cicho, szybko. Mgła wielkimi kłębami wydobywała się z parowu, ciepło ją gnało w górę, ciężki, głuchy szmer wody dusił oddech ziemi, świat odrętwiał. Dzieci przytuliły się do siebie... Zawiązał się dyalog... Sądzicie może, że o ostatniem przesileniu gabinetu we Francyi? o Marku Aureliuszu i gasnącem słońcu Choińskiego? o parcelacyi, melioracyi, Mirze Hellerównie lub równouprawnieniu kobiet? — „Zośka, bierz chochoł — dał rozkaz Jaś — i wpakuj mi go na łeb, potem ja tobie, zmokniemy do cna...“ Chochoł — to gatunek kaptura nieprzemakalnego, tylko że nie z ceraty, — ze słomy. Chłopiec ukląkł obok syczącego od ulewy ogniska, dziewczyna rozpostarła chochoł i nasadziła mu na głowę. Chłopiec zrobił jej to samo... Dyalog się skończył. Czas jakiś, cisnąc się ku sobie, dzieciaki patrzały przez szczeliny słomy i słupy strug lecących z góry na bydło, które się wlekło pod drzewa lub ze zwieszonymi łbami stało na miejscu, nie probując mokrej, chudej trawy. Niebawem atoli cisza, jednostajny bełkot wody i ołowiana senność w powietrzu, zaczęły dziatwie kleić powieki. — „Zośka — ozwał się znów Jaś — patrzże na bydło, ja nie mogę se rady dać i na Zdrowaś Marya zamknę ślepia...“ — „A ja to niby mogę...“ — odpowiedziała dziewczyna z odcieniem wymówki. — „Tobie łatwiej, ty się kiej bądź zdrzemiesz, mnie nie dadzą...“ Głowę okrytą chochołem oparł o ramię Zośki, zmrużył oczy i w tej chwili zasnął. Ona, póki mogła, póki jej sił starczyło, wytrzeszczała oczy na swoją „starą,“ na biedroniową „wtoruchę,“ na inne... Lecz i do niej przyszła zmora ulepiona z mgły i cicha jak śmierć, zamknęła jej powieki (str. 2, 15, 16).

Biedronie mogłyby nie być powieścią, w utartem znaczeniu wyrazu; materyału i treści w nich nie więcej, jak na krępą, dobrze osadzoną i suto opatrzoną nowelę. Nie ma tu ani trzeciej części tego szerokiego, wielostronnie rozwiniętego życia chłopskiego, co w „Przybłędach,“ najdawniejszem (z 1881 r.) i bodaj, czy nie najlepszem z wielu bardzo dobrych malowideł Sewera, których przedmiotem powszedni byt ludu, z okolic Krakowa przeważnie. Zamaszyście i dzielnie skreślona w „Przybłędach“ walka dwu stronnictw gminnych — arystokracyi z proletaryatem, w towarzystwie i z udziałem podrzędnych gatunków inteligencyi wioskowej, znachorów, frantów, handlarzy, bezbożników. artystów, filozofów, sprowadza się w „Biedroniach“ do szczupłego dramatu familijnego, zaostrzonego tragiczną, namiętnie wybuchającą złością starego, zamożnego i butnego Biedronia do swego syna, Janka, za to, że nie chce być jak inni, że zwaryował do tego stopnia, iż poniewiera mienie ojcowskie, że — hultaj — (zamiast brać się do pługa i kosy, lgnie do książki), przytem, nie umizga się do rumianej jak wiśnia organiścianki Natki, a tylko do tej smarkatej Zośki, która nawet trzech groszy posagu mieć nie będzie. Żebyż przynajmniej pił psiawiara w karczmie z chłopami i ludzi zawczasu jednał do przyszłego sołtysostwa lub może i wójtowstwa, ale nie, — on im z jakiegoś niebywałego „Potopu“ prawi o Szwedach pod Częstochową, o królewiętach, o królewiankach, — ni przypiął, ni przyłatał, — kwiatek do kożucha... Mazgaj, ślamazarnik, wyrodna dusza — ubić go i tyle!

Sielanka Jasia i Zosi — szczera, kwiecista, wybornie nacechowana przewagą rozkochanej dziewczyny nad nieco za miękką, powolną i marzycielską naturą chłopa. Biedroń ojciec — wykopany żywcem z gliny, na której się urodził i wykarmiony został chlebem swobód, na które nie zapracował, z których spożytkował to tylko, z czego mu barki urosły i zagon się wydłużył... Sylwetki proboszcza, organisty, panienki ze dworu, która dając Jankowi książki do czytania, tak sobie następnie rozmyśla: „Sympatyczny chłopczyna, skąd się taki syn wziął u tych chciwców i skąpców — co wobec tego faktu powie nauka i dziedziczność — z rozkoszą i ciekawością śledzić będę rozwijające się siły i pragnienia biednego pioniera“ (171). Szczególnie zaś plastycznie odtworzona postać zacnej piastunki, Kundy — odpowiadają w zupełności świetnej, oddawna zapracowanej i zasłużonej reputacyi Sewera, jako wytrawnego znawcy dusz prostych, pod lasem i na ugorze wyrosłych. Ale sam Jaś jest wystrugany, wypokostowany, wyczesany według panującej u nas mody... Upowszechniające się dziś mrówcze ilustracye książeczek kieszonkowych (z konieczności formatu nikłe, kosztowne, zamazane, któremi też i *Biedroniów* upstrzyć uważano za stosowne w niezłej intencyi, w szkaradnym guście)— ilustracye te pasują do utworu Sewera jedynie w tych miejscach, gdzie mowa o Jasiu. Straszliwie to mdłe: błyszczące ślepki, roztrzęsione kudełki, cieniutkie usteczka na mizernej twarzyczce a la Andriolli, nakrytej ułańską czapeczką à la Kossak; pierś wąziutka i w sam raz jak na słodki muzykalny sentyment sienkiewiczowski; patyczki kurze na miejscu nóg, a rozszczepione jak na komendę z epoki metternichowskiej: „wydłuż krok!..“ Pociesznie też wygląda ten nasz pierwszy czytelnik ludowej edycyi „Potopu,“ gdy podrastając, zaczyna pokazywać ząbki i indycząc się przeciwko despotycznym napaściom grubasa ojca. Zapewne, nabieramy o Jasiu nieco lepszego wyobrażenia dopiero po ostatnim akcie dramatu, w którym stary Biedroń jednem uderzeniem kija kładzie dzieciaka na wieczny spoczynek. Wtedy to dowiadujemy się z ust matuli Zośczynej, że małżonkowie Biedroniowie będą mieli wnuka, podobnego jak dwie krople

*) Petersburg, 1896, str. 321, z ilustracyami Wł. Tetmajera.

wody do nieboszczyka Jasia... Atoli, w ogólności, słabizna to taka, że wobec niej rodzi się pytanie, czy nawet owo synobójstwo (jako scena powieściowa nie zaś jako fakt kryminalny) zasłużyć może na pochwałę krytyki. Zbrodnia ojca daje racyę bytu sporej połowie książki (zasmarowanie procesu, abdykacya Biedronia, udanie się jego na pokutę klasztorną, instalacya synka Zośki na ojcowiznę Biedrońską itd.); obok tego tragedya zgadza się z gwałtownością wybuchów starego i dopełnia jego charakterystykę. Po za tem wszakże budzi same tylko wątpliwości. Zresztą, opis katastrofy odznacza się szaloną fugą i zwięzłością.

Raniutko Jaś wyjechał do lasu po gałęzie. Wpadł do stajni, ucałował serdecznie piastunkę Kundę, w izbie pożegnał się z matką, siadł na wóz... Wjechał do lasu, zawrócił i stanął nad parowem, z którego miał wynosić gałęzie... Czy to, że koń się szarpnął, czy też, że drzewo podłożone pod koła było za cienkie, wóz się stoczył na dół, dyszel poszedł w górę, koń się zawiesił na naszelniku, charkał straszliwie, dusił się... Chłopiec wystraszony, pochwycił siekierę, przyskoczył, drżącemi rękami ciął naszelnik. Twarda skóra odbiła raz, siekiera się oślizgnęła, tnąc skórę konia. Krew bluznęła, charczenie robiło się straszne, chłopak zbladł, siekiera wypadła mu z rąk, zamroczyło go — zatoczył się pod płytko rozlany strumień wody. Upłynęło chwil kilka. Nadszedł ojciec. Jednym rzutem oka ocenił niebezpieczeństwo. Wściekłość go opanowała, cały zapas duszonego gniewu zawrzał w nim — przyskoczył, zamierzył się i ciął zemdlonego laską w głowę. Dębowy kij zatrzeszczał, jęknęło coś w powietrzu — zamierzył się raz drugi, ręka mu zdrętwiała: woda strumyka zaczęła się farbować. Poskoczył do konia, kozikiem przeciął naszelnik, rana nie była wielka. Zwrócił się do syna, trącił go nogą, chłopak się nie ruszył (264—5).

Stylistyka tak świetna, obrazowość tak energiczna, zdolne byłyby nawet dziurę w niebie załatać, cóż dopiero mówić o jakiejś marnej szparze w kompozycyi beletrystycznej!.. Więc, choć raz oto nareszcie, znajdujemy się w przyjemnem położeniu względem tych czytelników, którzy od recenzenta żądają kategorycznego zdania o książce ocenianej: ażali warto ją kupić i przeczytać lub nie warto. Tak jest, tym razem warto... A lubo wyraz „kupić" radzibyśmy ominąć, gdyż nie jesteśmy ani taksatorami jakiejkolwiek spółki zaliczkowej, ani komisarzami do szacowania ruchomości w lombardzie—to przecież nawzajem, z całkowitą siebie pewnością utrzymujemy, że warto istotnie odczytać obie powieści, *Zyzmę* i *Biedroniów*, choćby się je nawet znało z *Ateneum*, gdzie pierwotnie były drukowane (w r. 1885 i 1895). To są dziś nasze najrzeczywistsze dwa światy: w otoczeniu tych żydów, tych chłopów Sewera czujemy się gruntownie u siebie, na własnych śmieciach. Niestety, nie zawsze sprawozdawcy wolno być równie stanowczym i otwartym. *Specyalnych* gustów i potrzeb publiczności znać on nie może i nie powinien, a co do upodobań ogólnych, wśród ogółu kursujących — toć należy się mu wdzięczność, ilekroć uważa je raczej za podniosłe i wykształcone, poprzestające na „dwie słowie," niż gdyby upodobania te i gusta traktował jako idyotyczne lub barbarzyńskie, narzucające się z wymaganiami, których niepodobna zaspokoić w granicach szanującego się powołania publicystycznego.

J. T. Hodi.

LITERATURA WŁOSKA.

Ada Negri: *Tempeste*. Medyolan, 1896 (Fratelli Treves).

Ada Negri zwróciła na siebie uwagę przed dwoma laty tomikiem poezyj, zatytułowanym „Fatalità." Były to skargi biednej, prześladowanej przez los nauczycielki wiejskiej. Talent spory i dużo surowości. Ujęła sobie serca, zdobyła słynność europejską, do której się wmieszało, niestety, jakby trochę politowania. Po „Burzach," które niedawno wyszły, ten niemiły ton prędko i niechybnie przeminie. Autorka pobiera sutą pensyę od Towarzystwa literatów we Florencyi, otrzymała miejsce w szkole rządowej w Medyolanie, a jednak nie sprzeniewierzyła się swym ideałom. I owszem, stała się daleko śmielszą w swych skargach i narzekaniach. Być może, iż chce w ten sposób obronić swą niezależność od uroszczeń dobroczynności. Być może, iż chce zasłonić się zuchwalstwem od ukąszeń dobrze wychowanej ironii. Przed tą chłopką, tak niedawno jeszcze zupełnie nieokrzesaną, teraz otwierają się życzliwie podwoje salonów stołecznych. Dobijają się o nią. Położenie jej musi jednak być tam nader trudne. We wszystkiem, co pisze o bogactwie, czujemy wyzwanie i jakby chęć odwetu. Panie widocznie jej nie zaimponowały — nazywa je „laleczkami woskowemi" — również jak panowie, „pasorzyci, papłacze nieużyteczni, chorzy od próżniactwa i próżności — widma wystrojone." Z politowaniem mówi o lichych świecidełkach, o skrępowanych postaciach i ruchach sztucznych tego życia w cieplarni. „Niech żyje światło i pług, i powietrze — czyste! Do roli! Do roli!"

Dzieci, pozostawione na łaskę bon i guwernantek, gdy matki są na balu, a ojcowie przy stołach gry, wzbudzają jej litość. Te maleństwa są wycieńczone użyciem rodziców. Matki przetańczą, przefiltrują życie, ojcowie nie wezmą udziału w niezmordowanych walkach wiedzy, nie wytężą ręki do pracy użytecznej: zmęczeni, bezsilni, zakończą marne istnienie w zimnym uścisku, kurtyzany. Taki jest los „Ostatnich książąt."

Wszystko to jest prawdą niewątpliwą, tylko może trochę nazbyt znaną. Za to wielkie panie, które tak się „interesowały losem „biednej, zdolnej dziewczyny," muszą być nadzwyczaj niezadowolone.

Wyrzuty i sarkania Ady Negri nie są nowe, ale jakże szczere! One płyną z tych samych głębin, z których tryska jej współczucie dla biedaków. Niema wśród poetów współczesnych nikogo, ktoby wydobywał tony tak rozdzierające. Oto rodzina nędzarzy: Nie zapłacili komornego. Gospodarz wyrzucił ich biedne, rozczulające swem ubóstwem graty, na ulicę. Mgła i deszcz moczą tę trochę odzieży, statków i mebli, z których wyziera jakaś sterana, znękana dusza. „Łóżko przypomina sobie, być może, o nieszczęsnej miłości, którą ochraniało, o dwojgu dzieciach, które w niem przyszły na świat dla nędzy i głodu. O, bądź przeklętą, miłości nizkich progów!" W zimnym poranku pod deszczem rodzi się pytanie: „Czy niewolnica, źle karmiona, ma prawo w pocałunku miłosnym powołać do życia istotę skazaną na smutek i cierpienie? Miłość biedaka jest zbrodnią!" Graty wrzucone na wóz wloką się po deszczu. Za wozem, ze spuszczonemi oczyma, jak za pogrzebem, postępuje rodzina.

Takie obrazy, wydobyte z duszy chorobliwie zbolałej, znaleźć można tylko chyba u Dostojewskiego, w piekle, gdzie przebywają „Biedni ludzie." Wpływ tego pisarza jest tu oczywistym. Ada Negri nie doszła wszakże do religii cierpienia i pokory. I owszem, jest to śmiała bojowniczka, pełna buntu, która wierzy, iż lepsza przyszłość wywalczoną być może.

Jest niewątpliwie w tej dziewczynie siła czysto żywiołowa sympatyi i namiętności, a zarazem dar harmonii, ale co nas jeszcze w niej uderza, to olbrzymia jednostronność myśli, nie dość jest wszakże mieć jedną strunę w lirze, aby być wielkim poetą.

Autorka ma poprzednika: jest nim Franciszek Mastriani, który umarł przed kilkoma laty. Lekarz, a zarazem romansopisarz, przedstawiał nędzę biedaków sycylijskich w całej jej okropności i realizmie: świat nędzarzy, pijaków, prostytutek nie miał dla niego tajemnic. Znajdujemy tam wszystko, z czem poetka włoska teraz występuje. Czego jednak Ada Negri od Mastrianiego nie wzięła, to samowiedzy, która może być pożądana i zbawienna dla poety, i samochwalstwa, które jest nieznośne, jeżeli niesmaczne. Artyście wszystko jest dozwolone, nawet kult własnego „ja," ale zachować miarę i smak w tym względzie bardzo trudno! Zobaczmy np. wiersz wstępny, poświęcony matce autorki.

„Tak, jestem silną! Po kamiennej drodze zostawiłam strzępki mej duszy i wiary, ale dumnie wznoszę się coraz wyżej ku błyszczącej jutrzence. Nadstawiłam pięść wszelkim ranom, urągałam najciemniejszym, najzłośliwszym nienawiściom i katuszy cierpień przeciwstawiłam energię stu istnień. Ani jeden jęk nie wyrwał się mej boleści. Nic nie ugięło mego czoła i mych myśli. Tak, jestem silną. Jestem dębem, którego burza nie zdołała wstrząsnąć!"

Ta przesadna retoryka panuje, niestety, nietylko tam, gdzie autorka o sobie mówi. Monotonność tematów pociąga za sobą wyrażenia natężone, wygórowane, a tendencya społeczna — obrazy jaskrawe, brak odcieniów. Krytyka włoska wskazuje nawet usterki wierszowania i języka. Przyjaciele Ady Negri odpowiadają na to: „Pozostawmy dłuto dekadentom. Negri obraca nie dłutem, lecz młotem."

Istotnie, można tak przypuszczać, sądząc nietylko ze społecznych pieśni poetki, ale i z osobistych. Weźmy np. wiersz „Non tornare," gdzie prosi kochanego, by nie wracał do niej.

„O, nie wracaj nigdy do mnie! Pozostań tam daleko, za morzami, za górami! Nie mogłam dłużej znieść cierpienia. *Nogami potratowałam naszą miłość* (!) *biłam ją w twarz* (L'ho sfigurato in viso), *gryzłam ją* (l'ho morso), poszarpałam ją na tysiąc strzępków. Uśmierciłam ją. Teraz milczy. Teraz jest dobrze. Spokojniej płynie w żyłach nazbyt gwałtowna krew. Teraz sypiam znów po nocach; nie spędzam ich w płaczu, wołaniu i tęsknocie za tobą. — O, jakże teraz jest cicho! Zmierzch bez końca panuje w około, dusza nieruchomie odpoczywa i tka, tka bezustannie ciemne nici wyrzeczenia. — Nie, nie wracaj więcej! Będę cię nienawidzieć ślepo i zimno, tak jako niegdyś kochać cię było mem szczęściem. Nienawidzieć cię za piękne kwitnące lata, które poświęciłam ci zdala od ciebie; nieszczęsną młodość poświęciłam — bez pocałunku i pieszczoty — ach czemu?"

Więcej wdzięku jest w pieśniach: „Fijołek," „Drobna rączka," „Widziałem cię we śnie," „Bez rytmu," „Białe domki," „Stary kościół" itd. — poświęcone wspomnieniom dzieciństwa i wrażeniom ulotnym. Autorka bardzo dobrze czuje i oddaje wrażenia muzyczne.

Wogóle Ada Negri przedstawia bogaty materyał poetycki, musi ona jednak przejść jeszcze przez długą szkołę życia i sztuki, która rozszerzy jej widnokręgi i nada polotom uczucia formę delikatniejszą i wytworniejszą.

L. W.

SPRAWY EKONOMICZNE.

LISTY Z WYSTAWY BERLIŃSKIEJ.

Nareszcie po długiej, mozolnej pracy, po licznych kłopotach Berlin wykończył swój majstersztyk. Gdy się rzuci spojrzenie z lotu ptaka na tego kolosa, który rozsiadł się na przestrzeni 1 mil. metrów kwadr., to trudno uwierzyć, iż 50 lat temu okazy przemysłu berlińskiego mogły podczas wystawy 1844 r. zmieścić się w małym arsenale pruskim. Podziwia się tu setki maszyn i tysiące towarów, noszących stempel nowoczesnych odkryć naukowych, gdy na wystawie poprzedniej figurowała jedyna lokomotywa Borsiga, uchodząca za ósmy cud świata. W r. 1876 stolica Hohenzollernów postanowiła popisać się swymi produktami na wystawie w Filadelfii. Prof. Reauleux zawiadomił rodaków, iż towary berlińskie uznano za tanią tandetę. Jeszcze w r. 1879 na wystawie nie zdano należycie egzaminu przemysłowego. Wówczas jednak można było się domyślać, iż dojrzewa w nim potęga, która wkrótce stanie się niebezpieczną rywalką dla innych ognisk produkcyi. Od tego czasu Berlin kroczył naprzód w siedmiomilowych butach i dziś zajął stanowisko pierwszorzędnego miasta w tym zakresie. Wystawa obecna daje Berlinowi świadectwo dojrzałości przemysłowej. Jak przystoi na stolicę państwa niemieckiego, chciała ona urządzić u siebie turniej wszechświatowy. Niedołężność Crispiego pokrzyżowała te plany. Berlińczycy musieli zniżyć skalę pretensyj: zaproszono narody niemieckie do uczestnictwa w wystawie. Rok jubileuszowy nadawał się doskonale dla tej okoliczności. Niepopularność prusaków popsuła im szyki. Nawet w samych Prusach okrąg reński np. nie chciał wystąpić pod egidą Berlina, twierdząc, iż znani ze swego sobkostwa obywatele stolicy nadsprewiańskiej wyzyskają tę okazyę dla otoczenia nimbem sławy swojego grodu. Berlińczycy dali za wygranę i w rezygnacyi swej odegrali rolę lisa z bajki, obrzydzającego sobie za wysoko wiszące winogrona. Pisma wszystkie winszują swym współrodakom, iż zarzucili kosztowny i ryzykowny plan wystawy wszechświatowej. Po tych nieprzyjemnych odprawach, Berlin pozostawiony swym własnym siłom, zaprzysiągł wykonać swe dzieło w ten sposób, aby wystawa stanęła na poziomie poprzedniczek wielkich europejskich i musimy przyznać, że dotrzymał słowa. Łatwo zrozumieć, iż na wszystkiem leży pieczęć ducha pruskiego, którego symbolem jest niedźwiedź, figurujący w herbie Beroliny. Na każdym kroku uderza nas brak pomysłowości. Czysto berlińską nowością jest przecież „mokry czworokąt,“ który ma być dowcipnem przezwiskiem mocarstwa Gambrinusa na terenie wystawowym. Jeżeli się nie mylę, wystawa kolonialna jest również oryginalnym pomysłem berlińskim. Szkoda tylko, że niema tam jednej z tych historycznych szpierut, któremi kulturtragerzy zaszczepiali cywilizacyę teutońską na skórze tubylców. Wiele zainteresowania budziłaby również szubienica Petersa, która odprawiała do kraju cieniów rywalów czarnych. Żywioł pruski ostemplował wystawę i pod innymi względami. Ze zdziwieniem napotykamy np. na każdym kroku i w najrozmaitszych oddziałach modele okrętów wojennych.

Wystawę obdarowano dodatkami natury bynajmniej nie przemysłowej, które często zakrawają nawet na szopki jarmarczne. Zarząd usprawiedliwia to kłopotami finansowymi. Wydatki wynoszą przeszło 7 mil. marek. Muzyka sama podczas całego sezonu pochłonie 100 tys. marek; 350 tys. poszło na cele propagandy. Wobec tych sum trzeba było poważny charakter wystawy przynieść w ofierze kasie. W tym wypadku wszelkie środki uchodzą za uświęcone. Nie jest to zresztą z wielkim uszczerbkiem dla wystawy, która nie tyle ilustruje przemysł Berlina, ile daje odbicie kultury tego miasta lub, jeśli kto chce, Prus. Przybywając na wystawę Stadtbahnem, należy uważnie obejrzeć dworzec, zbudowany w przeciągu kilku miesięcy. Ma to być według powszechnej opinii dzieło jedyne w swoim rodzaju. Składa się z 4 peronów o 7 torach, ma 10 kas i 10 urzędów dla kontroli biletów; co 3 minuty, a w niedzielę co minuta, odchodzi i nadjeżdża pociąg. Tu już łatwo poznać, w jak wysokim stopniu kultura pruska rozporządza doskonałymi środkami komunikacyi. Gdy się wchodzi na wystawę ze strony przeciwnej, pierwszy budynek, jaki się ma po lewej stronie od gmachu głównego, jest pawilon *Berliner Lokal-Anzeigera*, pisma mającego 180 tys. prenumeratorów, dwie maszyny drukarskie (redakcya posiada ich kilkanaście) odbijają w przeciągu godziny 96 tysięcy arkuszy. Pawilon ten daje pojęcie, jaką potęgą jest bibuła drukowana w stolicy Hohenzollernów.

Przechodząc przez jeden z dwu długich kurytarzy, prowadzących do budynku centralnego, spostrzegamy między innemi „biuro wiadomości,“ które zaopatruje pisarzy we wszystkie recenzye ich prac, dostarcza amerykańskiemu ministeryum rolnictwa wszystko, co się pisze w Niemczech o kukurydzy, nadsyła parlamentowi wszystkie rozprawy przeciw i za projektami rządowymi, fabryki nagrobków zawiadamia o wszystkich wypadkach śmierci itd. To samo biuro zebrało 3,700 nekrologów o Fryderyku III. Czyż taka instytucya nie rzuca światła na kulturę Berlina? O kilka kroków dalej jest filia pocztowa, która nietylko odbiera i wysyła listy, lecz i załatwia inne sprawy, jak np. wypłaca przekazy, dyskontuje weksle itd. Na żądanie poczta dostarcza listy za pomocą bicyklów w przeciągu godziny. Szkoła, hygiena, administracya Berlina, kanalizacya, mody, sport, odżywianie ludności itp. — wszystko to na wystawie jest reprezentowane, każda z tych gałęzi ma swe budynki i urządzenia. Gmach sportu jest bodaj jednym z najciekawszych. Spoglądając na to bogactwo okazów, można się domyślić jaką rolę odgrywa sport w życiu Berlina. Jaka obszerna specyalizacya powstała w produkcyi związanej z jazdą na bicyklu. Szereg fabryk reklamuje się jako zakłady wytwarzające obręcze pneumatyczne. Inne firmy znowuż robią ubrania dla cyklistów. Są nawet towarzystwa ubezpieczające od kradzieży rowerów i od wypadków nieszczęśliwych podczas jazdy na rumaku żelaznym. Specyalny zakład za opłatą miesięczną czyści bicykle. Istnieje masa pism poświęconych sportowi. *Rad Welt*, wychodzące dopiero od roku, posiada już 17 tys. prenumeratorów. Oczywiście jądrem wystawy jest przemysł i jakkolwiek wiele można wytknąć wyrobom tutejszym, trzeba jednakże przyznać, iż przemysł berliński na wystawie robi w wielu wypadkach wrażenie olśniewające. Jest to wytwór owej potężnej uzbrojonej w młot ręki, która figuruje w reklamie i którą warszawiacy znają z wystawy afiszów. Dłoń ta na reklamie jest oczywiście fanfaronadą, bo gdy pani Lina Morgenstern, filantropka i patryarcha niemieckiego ruchu kobiecego, piła zdrowie dzielnych robotników berlińskich na bankiecie wystawców, ani jeden głos nie przyłączył się do tego toastu. 23 grupy przemysłu berlińskiego nadesłało swe okazy. Są to: wyroby konfekcyjne, budowlane, drzewne, porcelanowe i szklane, galanteryjne, metalowe, graficzne i dekoracyjne, chemiczne, spożywcze, przyrządy naukowe, instrumenty muzyczne, maszyny, okręty i środki komunikacyi, wyroby skórne i kauczukowe, papierowe, grupa elektrotechniki, fotografii, hygieny i pedagogiki, rybołóstwa, sportu i ogrodnictwa. Przytoczyłem ten szereg terminów przemysłowych, jako wymowne świadectwo wysokiego rozwoju industryalnego Berlina. Zwrócę jeszcze uwagę, iż inicyatorowie kładli wielki nacisk na to, aby wystawa prześcignęła wszystkie swe poprzedniczki pod względem rozmiarów. Sam plac wynosi 1 mil. metrów kwadr., park dla zabawy 100 tys. Jedna z sal głównej restauracyi ma 50 metrów długości. Oprócz tego postarano się, aby wystawa mogła pokazać największy na świecie teleskop, największy balon i największy... garnek, bo mieszczący w sobie aż 5,000 litrów.

H. F.

W DALI.

Płock. Przed dwoma laty podczas wyborów do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego podano projekt założenia w Płocku Towarzystwa wzajemnego kredytu. Obecnie władze właściwe zatwierdziły już ustawę tej instytucyi. Kapitał zakładowy tworzą wkłady od 50 do 2,000 rs., płatnych najpóźniej w sześć miesięcy po zatwierdzeniu ustawy. Ogólna suma powinna dosięgnąć najmniej 30,000 rs. Prawo głosu na zebraniach będzie miał ten z uczestników, który wniesie *minimum* 200 rs. Dotąd zapisów jest przeszło na 20,000 rs.

Piotrków. *Gazeta losowań* dowiaduje się, że ostateczne utworzenie w Piotrkowie Towarzystwa kredytowego miejskiego natrafia na przeszkody skutkiem urządzenia hypoteki i domów. Księgi hypoteczne miejskie bowiem mieszczą się przy sądzie pokoju, gdy zaś ustawa, wzorowana na warszawskiej, przewidziała wydziały hypoteczne przy sądzie okręgowym, jak to zresztą jest w innych miastach gubernialnych. Wypadnie tedy albo żądać zmiany ustawy, albo przenieść hypoteki do sądu okręgowego. — Kolej podjazdowa z Piotrkowa do Sulejowa prawdopodobnie przyjdzie do skutku. Inżenier Russocki już wykończył projekt tego połączenia. Jako motór użyte będą małe parowoziki, opalane węglem lub też gazowe. Stacyę główną postanowiono wznieść w Sulejowie, podjazdową w Piotrkowie. Na początek będą chodzić cztery pociągi towarowe, następnie zaś osobowe. Projektowanej kolei przepowiadają wielkie powodzenie. — Dn. 12 maja odbył się w Piotrkowie jarmark, na który przyprowadzono sporo bydła rogatego. Ale pomimo niesłychanie nizkich cen, nie znalazło ono nabywców. Kupowano jedynie sztuki zdatne na rzeź. Zjawisko to daje się tłómaczyć ciężkim przednówkiem u włościan, tudzież potrzebą powtórnego sadzenia kartofli i siania owsa, gdyż poprzednie zgniły skutkiem nieustannych deszczów.

Lublin. *Wiek* podaje losy niezmiernie długo ciągnącej się sprawy gościeradowskiej: Proces o unieważnienie testamentu Eligiusza hr. Suchodolskiego, przegrany w sądzie okręgowym lubelskim, „rozczarował“ dożywotnika brata zmarłego. Przytem władze wyższe zaopiekowały się skutecznie lasami w majątku, zaprowadziły ścisły nadzór, powierzony p. Edmundowi Jasieńskiemu, i zabroniły wszelkiego cięcia drzewa, z wyjątkiem potrzeb miejscowych. W początku r. b. firma kupiecka warszawska zakupiła hurtownie tak zwany starodrzew do 16 cali grubości za 120,000 rs. Pod pozorem więc urządzenia gospodarstwa leśnego rozpoczęto forsowne wycinanie. Gdy nadszedł z Petersburga rozkaz powstrzymania dalszego cięcia, kupców z lasów usunięto. Wywołało to proces nowy, wytoczony dożywotnikowi przez kupców leśnych, czem do-

reszty zniechęcony Edmund hr. Suchodolski porzucił Gościeradów i wraz z małżonką odjechał do Wiednia. Obecnie administruje p. Grodziński, dawny rządca kluczowy ordynacyi hr. Zamojskich, który zaprowadza w zarządzie wszelkie możliwe oszczędności. „Słychać też, że dożywotnik nosi się z myślą zupełnego zaniechania dalszego procesu z warszawskiem Towarzystwem dobroczynności. Po upływie zatem dożywocia, Tow. dobroczynności wejdzie bezspornie w posiadanie dóbr i będzie mogło wprowadzić w życie rozporządzenia zapisu, ze stosowną ich zmianą, odpowiednio do warunków i potrzeb społecznych. — Powiat Janowski będzie miał dogodną komunikacyę. Zatwierdzono już bowiem nową linię kolei strategicznej od Lublina lub przystanku Konopnica do Tomaszowa przez Kraśnik i Janów. Roboty wkrótce zaczną się i będą prowadzone pośpiesznie, tak, iżby na manewry wrześniowe były już całkowicie wykończone.

Wilno. Znowu wzrosło wychodźtwo z kraju północno-zachodniego. Tym razem przeważa żywioł chrześciański. Śród Żydów zaś coraz bardziej chłodnie zapał w tej mierze, wogóle wszakże dają oni znaczny procent emigrantów. Według wykazów komitetu nowojorskiego, w roku ubiegłym przybyło do Ameryki z Rosyi około 20,000 Żydów, w tem przeszło 59% z gubernij północno-zachodnich. Z powodu wypadków na Wschodzie, emigracya do Palestyny była bardzo słaba, gdyż władze tureckie utrudniały przejazd.

Petersburg. W programie obrad zjazdu przemysłowego w Niższym Nowogrodzie znajduje się między innemi kwestya „pożądanych zmian w obecnych przepisach pocztowo telegraficznych.“ Sferom kupieckim i przemysłowym, którym najbardziej zależy na szybkiej czynności poczt i telegrafu i na uproszczeniu formalności, dana będzie tą drogą sposobność sformułowania swych życzeń. Jedno z pism petersburskich powiada, że jest to sprawa równie żywotna dla wszystkich bez wyjątku warstw ogółu, że przeto nietylko przemysłowcy i kupcy wzdychają do niezbędnych reform w obecnym ustroju poczty i telegrafu. — Z rozporządzenia ministeryum skarbu wypuszczono nową seryę 163-ą 4% Renty Państwowej na 10 milionów rubli. Tym sposobem ogólna ilość Renty wynosić teraz będzie 1,630 milionów rubli. Nową emisyę przekazano kasom oszczędności, wzamian za takąż sumę 4% pożyczek wewnętrznych z 1887 i 1891 r., wycofanych z obiegu.

O PRAWDĘ.



Z powodu artykułu pana S. Krzemińskiego w nr. 14 „Prawdy.“

„Podanie o króleiwczu indyjskim,“ umieszczone przeze mnie w książce dla młodzieży p. t. „Przędziwo“ (Warszawa, 1896, str. 163—171), wywołało w kilku dziennikach i czasopismach tutejszych rozmaicie wyrażone nagany i napomnienia; nie zwracałem na nie uwagi, bo czuć było od nich albo myszką obskurantyzmu, albo nieszczerością piszących. Zdarzyło się, że wyżej wymieniony artykulik pana S. K. przeczytałem dopiero w tych dniach, a że się zjawił w *Prawdzie* i zawiera kilka zarzutów faktycznych, więc biorę za pióro, aby niewielu następnemi słowami z nich się usprawiedliwić.

„W rzeczywistość samej osoby Buddhy Karłowicz nie wierzy — nie wydaje mi się to dydaktycznie stosownem“ — powiada na początku pan Krz.

Pomijając kwestyę „stosowności dydaktycznej“ mojej wiary, albo niewiary w cośkolwiek, przytaczam dosłownie, com w „Przędziwie“ napisał: „Czy istniał Buddha? Czy też podania wymyśliły osobę jego i otoczyły ją całym splotem bajek i baśni? Różni uczeni różnie na to pytanie odpowiadają.“ Zdaje mi się, że w zdaniu powyższem niema dowodu na twierdzenie pana Krz.

Zaraz potem krytyk mój utrzymuje, że „podanie przypuszczalnego roku urodzenia (Buddhy) 543 pomija granicę możliwości, ustanowioną przez Lefmanna (pan Krz. i tu i w „Encyklopedyi ilustr.“ pisze to nazwisko przez jedno *n*) na r. 480.“

Nie wiem, dlaczego pan Krz. powołuje się na Lefmanna, jakby na jakąś powagę: ile mi wiadomo, za takową nie uchodził i nie uchodzi. Data urodzenia i śmierci przypuszczalnego Buddhy jest dotąd przedmiotem sporu pomiędzy uczonymi. Jeżeli już trzeba było powoływać się na jakieś autorytety, to należałoby wspomnieć chyba Turnoura, Westergaarda, Lassena, Webera, Bühlera, którzy kwestyi tej oddzielne prace poświęcili. Co do mnie, podając rok 543, jako datę śmierci Buddhy, poszedłem za zdaniem Lassena, Köppena, Tielego, Wurma i wielu innych. W żadnym razie jednak r. 480 nie jest liczbą dokładną, bo jeżeli nie 543, to 482—472 (jak chce Buhler), albo 410 (jak myśli Rhys Davids), albo wreszcie 388 (jak mniema Kern).

W dalszym ciągu pan Krz. pisze, iż ja twierdzę, że w Azyi Buddhyzm wyznaje 400 milionów ludzi i dodaje, że „liczba ta jest w dwójnasób wygórowaną“ i że „przyjąć można 150 mil.“ Przytoczenie niedokładne: w „Przędziwie“ napisałem „*przeszło* 400 milionów.“ Pisząc to, poszedłem za wskazówką Berghausa, który obliczał, że Buddhyści stanowią 31,2%, a chrześcianie 30,7% całej ludzkości; że zaś chrześcian potocznie rachują około 400 milionów, wypadałoby na Buddhystów przeszło 400 mil. „Conversations-Lexicon“ Brockhausa (wyd 1882 r.) podaje liczbę tych ostatnich „daleko więcej, niż 300 mil.,“ a „Słownik naucny“ (r. 1891) oblicza ją „w r. 1881 na mniej więcej 470 milionów.“ Nie przypuszczam, aby w ciągu paru lat (pan Krz. przytacza Balbiego z r. 1893) jakiś straszny kataklizmat z oblicza ziemi starł paręset milionów Buddhystów...

Nie podobają się panu Krz. twierdzenia moje, że Buddhyzm miał „ogromne“ powodzenie i to „szczególnie w Indyach.“ Na obronę swoją przytoczę tu słowa samego pana Krz., wydrukowane niedawno w jego artykule *Budda* w „Encyklopedyi ilustr.:“ „*Tłumy* nieszczęśliwych przyjęły Buddhę, jako zbawcę, przynoszącego im miłość i miłosierdzie za prawo (może *jako* prawo?) najwyższe dla społeczeństwa ludzkiego“ (str. 647). Co zaś do rozkrzewienia się Buddhyzmu w Indyach, nie należy zapominać, że od VI lub V wieku przed Chr., czyli od początków Buddhyzmu, do wieku IX po Chr., czyli do jego w Indyach upadku, upłynęło prawie półtora tysiąca lat, a w ciągu tego olbrzymiego okresu było kilka wieków, gdy, jak się zdaje, ogarniał on całą ludność półwyspu zachodniego.

Najwięcej miejsca w artykule pana Krz. zajmują subjektywne jego poglądy na przyczyny upadku Buddhyzmu w Indyach i na wartość jego, jako religii. Poglądy te, jak również pobożne życzenie pana Krz., że „niema sobie co życzyć Buddhyzmu w Europie,“ wymownie świadczą o prawomyślności autora, ale nie dotyczą już skromnego artykuliku mojego w „Przędziwie.“

Jan Karłowicz.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na kongresie w Akwizgranie, gdzie 57 delegowanych reprezentowało milion robotników, uchwalono zabronienie kobietom pracy w kopalniach.

— We Florencyi z powodu zniżenia płacy wybuchnął bunt robotnic, zajętych pleceniem kapeluszy w Signa, Campi, Paggio, Caiani, Brozzi i miejscowościach okolicznych. Rokosz ogarnął cały okrąg florencki. Posłano tam wojsko.

Szkoły. We Lwowie powstaje Akademia handlowa.

— *Now. Wrem.* proponuje, ażeby uniwersytet jurjewski (dawniej dorpacki) przenieść do Wilna.

Kasa emerytów. Na ogólnem rocznem zebraniu uczestników kasy pożyczkowej emerytów warszawskich postanowiono, ażeby zarząd, składający się z trzech dyrektorów, był płatny w stosunku do wkładanej pracy na potrzeby kasy i ażeby dywidenda dla uczestników, nie biorących udziału w czynnościach zarządu, nie przewyższała 5%. Do zarządu powołano tych samych członków: pp. Umanieckiego, Nowodworskiego, Ochorowicza, Padszywołowa, Marcewicza i Lisowskiego, oraz tę samą komisyę rewizyjną.

Badania. Ministeryum dóbr państwa wydelegowało inżenierów górniczych, pp. Lebiedzińskiego i Michalskiego, dla zbadania rzeczywistego stanu rud w Krzywym Rogu nad Donem. Jest przypuszczenie, że już się one wyczerpują.

— Komitet międzynarodowy meteorologiczny, który obradował w sierpniu r. 1894 w Upsali, wypracował plan systematycznego badania chmur przez cały rok i wystosował odezwę do ogółu ludów cywilizowanych, aby wzięły udział w tej pracy. Od d 1 maja rozpoczęto systematyczne badanie postaci, kierunku, wysokości i szybkości chmur: dla podziału i odróżnienia odrębnych kształtów obłocznych ustanowiono osobne formuły międzynarodowe. Ważną rolę gra ten gatunek chmur (*cirrus*), których ruch daje wskazówki co do prądów powietrznych w najwyższych warstwach atmosfery. Dla wykonania badań Niemcy, Francya, Indye holenderskie, Norwegia, Szwecya, Portugalia i Rumunia urządziły po jednej stacyi, Rosya 3, Stany Zjednoczone Ameryki północnej 7.

Poczta. Z rozporządzenia p. ministra komunikacyi, w tych dniach zjazdowi kolejowemu będzie przedstawiony wniosek wprowadzenia nowych ułatwień dla publiczności: przyjmowania i wydawania korespondencyi pocztowej za pośrednictwem urzędników kolejowych.

Koleje i komunikacye. *Birż. Wied.* zapewniają, że kolej Moskiewsko-Brzeska przejdzie w ręce skarbu stanowczo 13 lipca r. b.

— Budowa kolei z Massawy do Kasali kosztować będzie 38 milionów lirów. Zawiązało się w tym celu Towarzystwo włosko-angielskie.

Konkurs. Redakcya *Gazety cukrowniczej*, korzystając z ofiary, złożonej bezimiennie na jej ręce, ogłasza konkurs z nagrodą rs. 200 za opracowanie rozprawki na temat „Kontrola i klasyfikacya odcieków z pod wirówek.“ Suma powyższa przyznana będzie autorowi najlepszej z prac, której rozmiary i zakres szczegółowy zależą od woli piszącego. Rękopisy nadsyłać należy do redakcyi *Gazety cukrowniczej* bezimiennie, zaopatrzone godłem, które nosić ma również koperta zapieczętowana, zawierająca wewnątrz nazwisko autora i nazwę cukrowni, w której autor prowadził odpowiednie badania. Oceną prac zajmie się komisya, złożona z 5 osób. Rozprawki nadsyłać trzeba najpóźniej do d 1 marca 1897 r. — Przy tej sposobności redakcya przypomina, że konkurs imienia hr. B. Tyszkiewicza z nagrodą 500 rs. na najlepszą pracę z zakresu techniki cukrowniczej, bez ograniczenia tematu, przedłużono do 1 października r. b.

Wystawy i zjazdy. Wystawa koni odbyła się w Warszawie d. 24 i 25 maja.

— Na zjeździe w Niższym Nowogrodzie technolodzy poruszą następujące sprawy: o pożądanych zmianach w formie i obszarze wiadomości statystycznych o przedsiębiorstwach przemysłowych i o sposobie zapewnienia wiarogodności oraz terminowości tych informacyj; o środkach zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom w fabrykach i zakładach przemysłowych; o wprowadzeniu w państwie systemu metrycznego miar i wag, o utworzeniu prywatnych związków właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych dla zapobiegania wypadkom nieszczęśliwym i szerzeniu się chorób profesyonalnych; o ubezpieczeniu robotników. Oprócz tego będzie poruszona sprawa wypoczynku robotników w dnie niedzielne i święta. W kwestyi wykształcenia fachowego będą złożone referaty, dotyczące dwu następujących punktów. 1) jakich techników z wykształceniem wyższem, średniem, czy niższem — potrzebuje obecnie najbardziej przemysł miejscowy. Braki, dostrzegane u techników, kończących kurs szkół niższych średnich i wyższych, oraz wskazania stopnia najbardziej pożądanych kwalifikacyi teoretycznych i praktycznych. 2) Jakie typy szkół dla nieletnich dzieci robotników fabrycznych byłyby najbardziej pożądane i najtańsze, zarówno w zakresie wykształcenia elementarnego, jak i fachowego, ze wskazaniem tych wiadomości technicznych, których nabycie w szkole najkorzystniejsze byłoby dla przyszłych robotników. Czy pożądane jest zastosowanie prawa o nauczaniu nieletnich, do szkół rzemieślniczych.

Zdrowie publiczne. W Druskienikach i Krynicy [illegible]

— Sezon kuracyjny w Busku rozpocznie się 6 czerwca.

Wypadki. Łuck (gub. Wołyńska) dotknęła straszna klęska; spaliła się większa część miasta.

— W Czechach powodzie poczyniły znaczne spustoszenia.

Zmarli. Ludwik Boller, pejzażysta, podczas malowania panoramy tatrzańskiej w Monachium spadł z rusztowania i skutkiem ciężkich pokaleczeń zmarł.

— Marya z Trębickich Falcińska, w Warszawie Literatka. Przeważnie tłómaczyła utwory obce.

— Prof. Rudolf Henze w Heidelbergu, gruntowny znawca kryminalistyki.

— Prof. Wilhelm v. Henke w Tybindze, anatom.

— Dr. Antoni Krzyżanowski w Kijowie, zacny człowiek, jako niepospolicie zdolny i sumienny lekarz, cieszył się ogromnem powodzeniem. Studya lekarskie skończył w uniwersytecie kijowskim, w którym był profesorem do r. 1866. Zmarły pozostawia po sobie żal szczery i głęboki.

— Klara Schumann, we Frankfurcie nad Menem; słynna fortepianistka, wdowa po kompozytorze Robercie.

Odpowiedzi Redakcyi.

T—z. Jakto, więc autorka, która swoje utwory pomieszcza głównie w *Kuryerach*, jest przez nie niedocenioną? Co do jej występów na prowincyi, dla naszego pisma są to wypadki tak małoważne, że o nich nie wspominamy.

X. X. My wiemy, że pisał o tym przedmiocie nietylko Lombroso, ale on położył podwaliny, na których buduje się dziś tyle fantazyj niby naukowych. W kwestyi uszu przyrośniętych powtarzamy zasadę ogólną, że wszelkie zboczenie od normy anatomicznej jest zwyrodnieniem, jeżeli zaś ono rozszerza się o tyle, że obejmuje większość ludzi, wchodzi do cech normy. W przytoczonem zdaniu tkwi ta (zresztą nieśmiała) myśl: obok oznak fizycznych istnieją niezależne od nich i występujące z niemi jednocześnie lub osobno oznaki psychiczne.

Neczaj. Z dozwolonych u nas — *Hist. lit.* Spasowicza.

Sprostowanie. We wspomnieniu pozgonnem o Przyborowskim (nr. 21) w wierszu 14-ym od dołu powinno być *przesadną* zamiast *przecudną*. W 10-tym wierszu od góry *wsteczy* zamiast *ustawy*.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Мая 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.